Nr. 31. Kraków, listopad 1910 r. Rok III.

STRAŻ POLSKA

wspólny organ stowarzyszeń: „Straż Polska“ w Krakowie i „Polska Liga Narodowa“ we Lwowie

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata „Straży Polskiej“ na rok 1910 wynosi 3 kor. — dla członków „Straży Polskiej“ i „Ligi“ 2 kor. (z przesyłką pocztową). Numer pojedynczy 30 hal.

Adres Redakcyi: Kraków, Rynek główny L. 39.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bartoszewicz.

Adres Administracyi: Kraków, ul. Floryańska L. 1.

Tragiczne losy.

Tragedye przeżywają ludzie i narody. W naszem życiu narodowem losy nie poskąpiły w niczem: dały nam chwałę, wielkość, pychę z niej płynącą, dały nam potężną siłę twórczą, która w każdej dziedzinie zajęła miejsce poczesne, wreszcie pozwoliły zakosztować goryczy niewoli. Na tem nie koniec. Wiekowa przeszło niewola zdeprawowała nas, obniżyła naszą siłę narodową, wytworzyła zdolność przypochlebiania się obcej sile, ulegania jej pod pozorem służby narodowej, dążenia do leniwego kwietyzmu, zasłaniającego się płaszczykiem dobra publicznego i pozbawiła nas jednego z najsilniejszych i najszlachetniejszych bodźców samoobrony — dumy narodowej. Spodem fala naszego życia odświeża się, ale i górą płyną już prądy nowe, błyszczą bąble szumowin.

Społeczeństwo nasze przyjęło w siebie w ciągu ostatniego stulecia wiele pierwiastków obcych etnograficznie. Życie samodzielnego państwa pochłania zwykle takie pierwiastki, przerabia je na siły narodowe, — inaczej się dzieje u nas. Proces pochłaniania odbywa się coraz słabiej w miarę oddalania się od właściwego momentu — utraty państwa. Jednostki obce, stykające się przypadkowo z naszem społeczeństwem, przyswajają nasz język, a często zwyczaje nawet, ale to nie są cechy narodowości. Ważniejszem jest daleko to, jakie uczucia i myśli wypowiadają tym językiem, co wnoszą do literatury za pośrednictwem tego języka.

Skutkiem napływu obcych składników społeczeństwa, wychowanych w obojętności narodowej polskiej, pokrywającej się niby wyższemi, wszechludzkiemi ideami i ideałami, wytwarza się za naszych dni odrębna literatura niby polska, a obca; zwiększa się grupa literatów niby polskich, a obcych duchem, często nawet pisujących po niemiecku, gdy trzeba przyznać, że żaden obcy pierwiastek narodowy nie wyrządził nam tyle szkody, co germanizm, ani zaplugawił tak naszej literatury. Mógłby się do tych pisarzy duch narodowy polski odezwać słowami Mickiewicza: nie ze mną trzeba być, lecz we mnie.

Szerzy się tedy w naszej literaturze choroba pasożytna, obca narośl, wykwit obcego wpływu, która nasz organizm narodowy zanieczyszcza, osłabia, zobojętnia, — jest to rozrastanie się niemieckiej duszy w polskim organizmie, tworzenie się osobników o dwoistych duszach. Wciskają się one w każdą niemal dziedzinę twórczości i pracy narodowej, szerząc hasła jakiejś niby sprawiedliwości i bezstronności, a w rzeczy samej obojętności narodowej. Wypływa to z tego, że jedni nie rozumieją zupełnie duszy narodowej polskiej, ani są w stanie wpatrzyć się w jej smutne i wielkie głębiny, stąd stają się pod pozorami sprawiedliwości najniesprawiedliwszymi sędziami pracy narodowej; drudzy z powodu tej samej wady, rzucają polską literaturę i język, jako obce dla nich duchem, zwiększając swemi siłami siły naszych wrogów, a przenoszą się z całym balastem niemieckiej kultury do literatury niemieckiej lub rosyjskiej. Dobrze jeszcze, gdy udział ich w obcej literaturze ogranicza się na dramacie lub belletrystyce — wówczas Niemcy mają tylko kłopot z polskiemi imionami, których przerobić nie mogą, ale i to nie zawsze okazuje się potrzebnem. Daleko większę szkodę wyrządzają nam ludzie tego rodzaju, gdy stają się pośrednikami między światem słowiańskim a niemieckim, jako mężowie nauki. Powtarzają wówczas niemieckim czytelnikom aforyzmy niemieckiej szkoły i polityki o — nieprodukcyjności Słowian, a obok Mickiewicza nie wahają się stawić takich maniaków mistycyzmu, jak Tołstoj, nie wahają się obdzierać naszej literatury twórczej ze wszelkich pierwiastków samodzielności. Czytając takie „polskie literatury“ odbiera się wrażenie, żeśmy nic nie stworzyli: dawniej braliśmy wszystko od Niemców, teraz — smutne to, ale prawdziwe — powiadają nam, że bierzemy — z Rosyi. Dowodzi to tylko u tych wielce uczonych mężów małej znajomości ducha naszej literatury, a bardzo powierzchownej znajomości literatury rosyjskiej, słowem, patrzenia na polską literaturę przez obcą soczewkę. U nas takie sądy przeszłyby bez wrażenia, jako bezpodstawne, — w obcej literaturze one tworzą opinię, wchodzą do szkoły, do podręczników, dostarczają broni przeciwko nam. A cóż dopiero mówić o historyi i historykach, którzy stali się po większej części albo zbieraczami faktów, albo poszukiwaczami tematów sensacyjnych i amatorami intryg politycznych; historykami zostali dlatego tylko, że nie mogli być bankierami, lub wielkimi przemysłowcami, tworzącymi syndykaty. W duszach ich, obojętnych na cierpienia i chwałę narodu, jest tylko temat i formuła naukowa, szemat oddawna spreparowany przez szkołę niemiecką dla użytku Słowian.

W literaturze twórczej obserwujemy zjawisko także nader mało sympatyczne: jest to jakaś, niedająca się określić dokładnie, ze względu na czynniki wpływające na nią, sprzedajność ducha, zaofiarowanie więcej dającemu, wyrzekanie się własnej narodowości na korzyść obcego języka i literatury, wyrzekanie się krwi swojej na korzyść popularności, sprzedawanie polskiej siły twórczej za niemieckie srebrniki. Zyskują na tem obce „walory literackie“, jak się wyraził jeden z krytyków francuskich, także nieokreślonej narodowości, ale obniża się wartość „walorów moralnych“ ludzi i literatury naszej. Coraz więcej znajdujemy pisarzy, którzy acz wyrośli na polskim chlebie i ziemi, odrywają się od niej dla większych korzyści materyalnych, dla wygodnego życia, dla zaspokojenia próżności. Muszą tedy przystosowywać talent swój do obcego smaku, obcego życia, obcych tematów, obcego języka. Nie przenoszą oni, jak Krasiński, starożytnego świata w nowożytne dusze polskie, lecz malują raczej neurasteników na tronie rzymskim, opowiadają losy legii cudzoziemskiej z czasów Cezarów, w Afryce. I nic dziwnego. Im się zdaje, że pisarz tylko dzieje duszy ludzkiej powinien opowiadać, choćby błąkającej się na piaskach Afryki. Męczarniom polskiej duszy żaden Bruno Türschman nie poświęci wieczoru i nie rozgłosi polskiego imienia śród niemieckiej publiczności. Nawet poezye, ten kwiat narodowego ducha, nasza karmicielka, nasza pocieszycielka, nasza dotychczasowa strażnica znicza narodowego, stała się u wielu młodych poetów sługą egoizmu lub zabawką artystyczną, pięknie wykończoną, pozbawioną jednak treści. Brak jej często barw i krwi naszej, swojskiej. Jedni pobrzękują na nutę ludową, drudzy — jeszcze gorzej: udają poetów starożytnych, rozmiłowanych w winie, którego sami nie pijają; w kobietach, które traktują jak posągi greckie, zimne i gładkie; w spokoju Kampanii rzymskiej, którą przez dwadzieścia cztery godzin oglądali. Chcą być koniecznie wszechludzkimi, bo w duszach swoich, napoły niemieckich, nie znajdują żadnych potężnych akordów swojskich. Życie nasze nie wzrusza ich, nie pociąga, nie podnosi.

Obcość polskiego ducha, jaka się, niestety, zbyt często spostrzegać daje, w dziedzinie naszej współczesnej pracy literackiej, już dziś utworzyła odrębną grupę pisarzy, którzy wnoszą do literatury nie nowe zasoby myśli, nie nowe pierwiastki twórcze, nawet nie nowe formy, lecz lękliwą obojętność rasową.

Obyśmy niedługo czekali, ażeby się znalazł ktoś, ktoby zjawisko, ukazane przez nas, poddał szerszemu badaniu i krytyce. Dla historyka literatury nie może być nigdy obojętnem, jakie pierwiastki, w jakim stopniu i dlaczego składają się na ogólną pracę i twórczość naszego narodu.

Nasza znajomość geografji ojczystej.

Urobiło się u nas przyzwyczajenie wyśmiewania się z Francuzów za ich nieznajomość geografji: na podstawie bardzo niewielkiej liczby faktów wydaliśmy już przed laty orzeczenie, potępiające pod tym względem w czambuł całe społeczeństwo francuskie. O ile to potępienie jest słuszne, nie wchodzę w to bliżej, nie mam możności sprawdzić tego, wiem jednak, że zamiast potępiać innych, należało już dawno ostrze krytyki w tym kierunku zwrócić przeciwko sobie samym, gdyż ignorancja u nas na tem polu kwitnie również. Nie jesteśmy wcale lepsi od Francuzów, którzy np. o Słowiańszczyźnie mają wprawdzie dość słabe wyobrażenie, ale z pewnością o własnej ojczyźnie mają nieco dokładniejsze wiadomości, aniżeli my o naszej...

Główny powód naszego upośledzenia w tym kierunku leży w braku szkół narodowych; nawet w Galicji, w tak zwanych szkołach polskich, nauka geografji ojczystej albo po macoszemu jest traktowana, albo zgoła nie istnieje. Cóż mówić o zaborze pruskim lub rosyjskim? Kto czuł potrzebę dowiedzenia się czegoś z geografji ojczystej, mógł zdobyć to jedynie drogą samouctwa, i to nie zawsze, bo brak było odpowiednich podręczników. Oto fakt charakterystyczny, jeden z wielu. Piszący te słowa w klasach niższych w Warszawie uczył się historyi biblijnej z książeczki polskiej Jana Śliwki, wydanej w Cieszynie, ale o tem, gdzie to miasto leży, w której stronie świata, jak daleko od Warszawy, nie miał najmniejszego pojęcia i dopiero dowiedział się przypadkowo w kilka lat później. Inteligentny, dorosły Warszawianin nie wiedział n. p. skąd ta Wisła, na którą często spoglądał, bierze swój początek, a dobrze już było, jeśli z wypisów szkolnych pamiętał, że gdzieś tam

„Od gór Karpackich coraz szersza bieży....“

Od czasu istnienia w Królestwie Polskiem szkół prywatnych sprawa ta nieco się poprawiła, ale i dotąd braki w tym kierunku są przerażające....

Podział polityczny Ojczyzny naszej jeszcze to sprawia, że przeciętny mieszkaniec ma coś niecoś pojęcia o dzielnicy, do której należy, co jednak znajduje się już za kordonem, to niemal jest mu tak obce, jak gdyby to było gdzieś w Afryce....

Królewiak nie ma pojęcia o Galicji, naodwrót Galicjanin o Królestwie i t. d.

Miarą rażącego nieuctwa w tym kierunku mogą być nasze poczty; od czasu do czasu jakiś szczegół, wołający o pomstę, przedostanie się do

prasy, jak n. p. ten, gdy urzędniczka pocztowa, przyjmująca list polecony do Lublina, oświadczyła z podziwienia godną otwartością, że nie wie, gdzie to miasto leży...

Nie mam zamiaru tutaj wyczerpywać tego tematu. Chcę tylko zwrócić uwagę, że prasa tutejsza, która powinna świecić przykładem, popełnia pod względem znajomości innych dzielnic polskich zdumiewające horrenda. Zwłaszcza dzieje się to w stosunku do Królestwa i wogóle zaboru rosyjskiego.

Do czasów rewolucyi w Rosji informacye nasze o zaborze były nadzwyczaj skąpe; prasa tamtejsza, skrępowana cenzurą, nie dawała wcale materjału dla gazet tutejszych. Dopiero ze zwolnieniem więzów cenzuralnych zaczęliśmy czerpać obficiej z prasy zakordonowej. Ale jednocześnie z tem dzienniki tutejsze poczęły się zdradzać ze swoją ignorancją w tej dziedzinie.

W ciągu lat kilku wynotowaliśmy z dzienników lwowskich i krakowskich przy pobieżnem przeglądaniu paręset różnego stopnia bąków geograficznych, tyczących się zaboru i Rosji. Nie mamy miejsca na przytaczanie wszystkich, poprzestać musimy na podaniu kilkunastu, wybranych na chybił trafił. Nie wymieniamy przytem nazwy pisma, aby nikogo nie drażnić, tembardziej, że i my sami nie jesteśmy bez winy.

Zapewne, część tych błędów położyć trzeba na karb niedbałej korekty, ale reszta — niestety na rachunek ignorancyi piszących.

Czytaliśmy więc w jednym dzienniku, że „strajki rolne szerzą się głównie w pow. sokołowskim i bialskim na **prawym** brzegu Bugu“, tymczasem powiaty te gub. siedleckiej leżą na **lewym** brzegu tej rzeki, a gub. siedlecka nigdzie na prawy brzeg Bugu nie przechodzi.

Inna gazeta chciała się popisać erudycją, więc orzekła, że twierdza Iwangród (przy ujściu Wieprza do Wisły, połączenie kolei Dąbrowsko-Iwangrodzkiej z linią Mława-Kowel) po polsku się nazywa Modlin, wiadomo zaś, że Iwangród to Dęblin, a Modlin to — Nowogieorgiewsk, twierdza przy ujściu Bugu do Wisły.

Pisząc o Nałęczowie (znane uzdrowisko w lubelskiem) pewien dziennik donosił, że jakiś lekarz specjalista „dojeżdżał dwa razy na tydzień z **Wilna**“ zamiast z Lublina (dojeżdżanie tak częste z Wilna byłoby chyba zbyt forsowne; za drogoby kosztowało).

Miasteczko powiatowe w gub. warszawskiej Grójec według pewnego dziennika nazywa się „Grojza“, co powstało przez to, że urzędowa nazwa brzmi po rosyjsku Grojcy, a w pisowni niemieckiej Grojzy. A dziennik ten pisał „i bandyci udali się potem do Grojzy“.

Podawanie nazw polskich według brzmienia urzędowego trafia się bardzo często: dzienniki tutejsze pisały i piszą: „Biełgoraj“ zamiast Biłgoraj, „Małkin“ zamiast Małkinia, „Aleksandrowsk“ zamiast Aleksandrów,-owo, „Włocławsk“ zamiast Włocławek, „Siedlec“ (albo Siedlice) zamiast Siedlce, „Zwolin“ zamiast Zwoleń i t. d.

Na różne wreszcie sposoby przekręca się nazwy miejscowości, albo się je przenosi dowolnie tam, gdzie nie istnieją. Zamiast powiat nowo-miński, gazety piszą „nowomiejski“, w gub lubelskiej umieszcza się powiat „nieszowski“, który nie istnieje tam wcale. Miasteczko Nieszawa jest, ale w guberni warszawskiej, nad Wisłą, w pobliżu granicy pruskiej. Hrubieszów w guberni lubelskiej (tak niedaleko Galicji!) przekręca się na „Hrebienów“, miasteczko Ostrowiec (końcowa stacja linii kolejowej z Koluszek) w guberni radomskiej na „Ostrów“, Wysokie Mazowieckie przenosi się z gub. łomżyńskiej do suwalskiej i t. d. Kolej z Warszawy do Terespola, Brześcia Litewskiego nazywa się Tyraspolską, w innej gazecie pisze się „w kierunku do **Kowe**“, zamiast do Kowla (Kowel). Korespondencję, zaczynającą się od słów „Z Podola donoszą“ — umieszcza się pod tytułem „z Królestwa“; ktoś niewiedzący, że Królewiec znajduje się nad Bałtykiem w Prusiech, każe mu się znajdować w obrębie Królestwa Polskiego!

Ostatnio zaś dowiadujemy się, że słynna miejscowość lecznicza Druskieniki, gdzie odkryto istnienie radu, znajdująca się w gub. grodzieńskiej, przeskoczyła także do Królestwa i że djecezja „łódzko“-żytomierska otrzymała nowego biskupa! (Łuck na Wołyniu, a nie Łódź w gub. piotrkowskiej).

Znajomością Rosji i posiadłości rosyjskich w Azji również nie grzeszymy zanadto. Jest to wprawdzie mniejszym grzechem, niż nieznajomość stron ojczystych ale także trochę wstyd

Więc n. p. gub. Inflandzką (Inflanty!) umieszczamy w Finlandji; bardzo poważny organ, wymieniając gubernie rosyjskie, z dwu guberni Perm i Wiatka, zrobił jedną gubernię „Peruwiatka“! Gdzieindziej czytaliśmy wiadomość z Tyflisu, tak się zaczynającą: „Tu i w Kazaniu walki uliczne“... (Gdzie Krym, gdzie Rzym?) Dotąd jeszcze dzienniki nasze nie mogą sobie poradzić z miastem Aschabad w okręgu Zakaspijskim i umieszczając go na Kaukazie, przekręcają na różne sposoby: Archabad, Azhabad, ale najczęściej Aszabad, jakby „sch“ należało koniecznie czytać po niemiecku.

Takich przykładów możnaby przytoczyć setki.

O ignorancji naszej co do geografji kresów zachodnich pisaliśmy już nieraz, nie chcemy się więc powtarzać. Ale zachodzi szczegół ciekawy: nie wiedząc, jak brzmi nazwa polska, tłumaczymy sobie z nazwy niemieckiej. Pod Cieszynem jest n. p. wieś Łąki, Niemcy nazywają to Lonkau, a my tłumaczymy to na Lonków! Pewien dziennik warszawski zrobił tak samo z Bielskiem, z niem Bielitz, tworząc sobie nazwę Bielice!!

Jaka na to wszystko rada?

W szkołach powinno się baczniejszą uwagę zwrócić na naukę geografji ojczystej, o czem się zresztą na wszystkich wiecach i kongresach oświatowych i pedagogicznych mówi już od lat kilkunastu.

Pozatem, kto w szkole tej wiedzy nie nabył, powinien studjować mapy **polskie** i odpowiednie podręczniki.

Kartografja polska, tak dotychczas uboga, żywiej by się rozwinęła, gdyby było większe zapotrzebowanie map polskich.

Zabierzmy się raczej do studjów nad geografją ojczystą, zamiast wyśmiewać się z Francuzów. *Wacław Naake Nakęski.*

Kultura fałszu.

Przypatrując się działalności narodowej i politycznej Rusinów w ostatnich latach, spostrzega się nieskończone pasmo fałszu i kłamstw, które odkrywamy w najważniejszych nieraz wydarzeniach politycznych. Przywódzcy ruscy zakłamali się już tak daleko, że tworzą dla swojego narodu formalną kulturę fałszu, w którym gotowi go wreszcie niby w gryzącym dymie udusić.

I tak Rusini puścili w Europę fałsz, że w Galicyi niema ani jednej szkoły ruskiej; fałszem była cała historya o Kahańcu, która stała się powodem zamordowania hr. Potockiego; śmierć Adama Kocki zastrzelonego przez własnych towarzyszy, sfałszowano, przedstawiając ją jako „morderstwo“ polskie, a obecnie jesteśmy świadkami jednego z najniebezpieczniejszych fałszerstw, tak zwanej „Wrześni ruskiej“ czyli zfabrykowanego fałszywego oskarżenia Rusinów przeciw nauczycielowi Greissowi w Żulinie, jakoby pobił na śmierć dziecko szkolne Kochańczyka za odmawianie ruskiego pacierza.

W sprawie tej znane są wyniki sądowo-lekarskiego badania i dochodzeń władz szkolnych, które stwierdziły zupełną niewinność nauczyciela i jego żony. Obecnie mamy do zanotowania, że dwa dzienniki „Słowo polskie“ i „Kurjer warszawski“ zarządziły na miejscu w Żulinie śledztwo własne, które wykryło nietylko niewinność nauczyciela, ale i metodę ruskiego fałszerstwa.

Szczegóły tam zawarte dowodzą między in-

Cudze chwalicie...

(sprawozdanie z wycieczki Straży Polskiej).

Niezwykłe powodzenie trzech wycieczek Straży Polskiej do Warszawy, zachęciło Zarząd Główny do urządzenia na większą skalę wycieczki po Królestwie i Litwie.

Uczestnicy i uczestniczki jej, z różnych stron Galicji, zjechali się d. 17 września, w Dębicy, skąd udali się koleją do Nadbrzezia, stacji kolejowej i komory celnej nad Wisłą.

W Nadbrzeziu przedstawiła im się śliczna panorama wznoszącego się nad królową rzek naszych, na wyniosłem wzgórzu, Sandomierza.

Po półgodzinnej przeprawie promem przez Wisłę, imponującą tu swą szerokością tym, co ją tylko pod Krakowem widzieli, po szybkiem i uprzejmem ze strony władz celnych załatwieniu formalności paszportowych i rewizyjnych, wycieczka udała się natychmiast, częścią powozami, częścią piechotą, na zwiedzenie starożytnego grodu Piastów, mając na czele dwu miejscowych obywateli, którzy z niezwykłą uprzejmością przyjęli na siebie obowiązki przewodników.

Nie jest zadaniem tego krótkiego sprawozdania szczegółowy opis miejscowości zwiedzanych. Każda z nich prócz „Przewodników“, posiada poważne monografje (Sandomierza dzieje i opis opracował np. obszernie X. Melchior Buliński). Poprzestaniemy więc tylko na zaznaczeniu „z grubsza“ gdzie wycieczka nasza była i co widziała.

Ślicznemi, pnącemi się w górę wąwozami dotarliśmy do architektonicznej chluby Sandomierza, jaką jest kościół św. Jakóba. Znawcy (a mieliśmy ich i między sobą, w osobach znanego malarza i młodego architekta) rozkoszują się widokiem tych murów, uważając je za najpiękniejszy zabytek stylu romańskiego w Polsce (monografię ich, pióra Wład. Łuszczkiewicza wydała Akademja Umiejętności) Zbudowany przez Adelajdę, siostrę Leszka Białego, kościół oddany został Dominikanom. W murach przyległego klasztoru miał swą celę św. Jacek Odrowąż; celę tę później połączono z kościołem i zamieniono na kaplicę. W tych też murach w r. 1260 wymordowali Tatarzy 49 zakonników z bł. Sadokiem, których pamięć święci Kościół katolicki.

Do kościoła św. Jakóba miał szczególne nabożeństwo Władysław Jagiełło — ustanowił przy nim fundację, aby się modlono za dusze żon jego: Jadwigi, Anny, Elżbiety. Towarzysz broni wielkiego króla kard. Zbigniew Oleśnicki wystarał się w Rzymie o odpust przy tym kościele dla tych, co po spowiedzi i komunji będą wznosili modły za Kościół i pomyślność Królestwa Polskiego.

Świątynia jest obecnie z gruntu restaurowana pod okiem komitetu, do którego wchodzą i delegaci Akademji Umiejętności. Prócz pięknych murów, zwracają w niej uwagę stare pomniki i prześliczne oddrzwia z cegły wytłaczanej w różne wzory. Podobnych portali kamiennych można spotkać wiele choćby w samym Krakowie — ale ceglany jest już wogóle osobliwością, a romański portal sandomierski pod względem bogactwa motywów jest unikatem na ziemiach naszych.

Z kościoła św. Jakóba pojechaliśmy śliczną drogą naokoło miasta do kościoła Benedyktynek, przy którym znajduje się seminarjum i muzeum dyecezjalne, założone staraniem X. Rokosznego, który jak był łaskaw być naszym przewodnikiem w kościele św. Jakóba, tak też i zaznajamiał nas z cennemi zbiorami muzealnemi.

Z muzeum dopiero udaliśmy się do właściwego miasta przez wspaniałą bramę Opatowską. Jest to jedyna brama, która pozostała z murów otaczających Sandomierz w tych czasach, kiedy swą rozległością, architekturą i ludnością śmiało rywalizował z Krakowem. Daje też ona nam dokładne wyobrażenie jakie potężne mury broniły tej stolicy Piastów. Wysoka, poważna, lekka, wybudowana z ciosowego kamienia i cegły, z piękną u wierzchu balustradą, jest jednym z najpiękniejszych zabytków świeckiego budownictwa w Polsce. Powiększa jej oryginalność to, że czas zniszczył jej wnętrze — pozostały tylko cztery ściany bez sklepienia; jest więc jakby olbrzymim kwadratowym kominem...

Przez ulicę Opatowską wyszliśmy na rynek duży, czworoboczny, nierówny, nieregularny, pochyły, ze silnym spadkiem ku Wiśle, dość brzydko zabudowany, ale posiadający kilka starych domów z podcieniami i stojący na środku ratusz, śliczny zabytek z Kazimierzowskich czasów, a może nawet wcześniejszych. Jest w nim coś z Sukiennic — attyka przypomina ratusze tarnowski, chełmiński... Nie wchodząc w sprzeczki znawców o styl budowy (podobno „dawny włoski“) zaznaczymy tylko, że piękniejszego ratusza z czasów piastowskich i jagiellońskich nie posiadamy, a z czasów późniejszych jedynie poznański (całkiem zresztą inny) mógłby na niego „z parteru“ spoglądać, gdyby nie miał czci dla jego lat sędziwych.

Znawcy opierając się na cichej, ale zrozumiałej dla nich mowie cegieł i kamieni, odróżniają dwie części ratusza sandomierskiego. Pierwsza

nymi, że Rusini wnieśli demoralizacyę nawet w jedną z najlepiej funkcyonujących dotąd instytucyi austryackich, mianowicie: w żandarmeryę. Z zeznań bowiem, zebranych przez oba dzienniki wynika, że jednem z najgłówniejszych narzędzi fałszerstwa był komendant posterunku żandarmeryi Gucek, Rusin. On to chodząc od chaty do chaty, choć był posłany do Żulina po co innego, a mianowicie: w sprawie zarazy bydlęcej, namawiał chłopów i dzieci do fałszywego świadectwa przeciw nauczycielowi, wmawiał w dzieci — jak to było u niejakiej Helingerowej, że były bite i przedstawiał im, że im w sądzie wszystko wolno zeznać, bo przysięgać nie będą. Pod jego osłoną chłopi ruscy teroryzowali chłopów polskich w Żulinie, aby zeznawali przeciw nauczycielowi, a kiedy chłopi polscy skarżyli się przed nim na napady, wybijanie szyb i zatruwanie studzien, Gucek im powiedział: Minęły czasy, kiedy Polacy na Rusinach jeździli, teraz będą Rusini jeździli na Polakach.

Dzięki takiej tolerancyi, chłopi ruscy w Żulinie trzykrotnie rozkopali i znieważyli grób dziecka nauczyciela.

Co się tyczy samego nauczyciela Greissa, to ankieta obu wymienionych dzienników stwierdza, że był wprost wzorowym nauczycielem. Inspektor krajowy Matijów, choć sam Rusin, po wizytacyi dał mu pochwałę i 50 kor. nagrody, a zarówno zeznania ks. Machowskiego złożone w Radzie szkolnej okręgowej w Stryju, jak pisemnie i podpisane przez włościan polskich poświadczenia nie mają dla niego wprost słów pochwały. Fałszerstwo przeciw Greissowi było planowane jeszcze zanim przybył do Żulina, gdyż zaraz po jego mianowaniu Rusini oświadczyli: „Już my tego Lacha prędko wygryziemy“.

Obecną kampanię przeciw nauczycielowi Greissowi, mieli ułożyć, jak wynika z obu wymienionych ankiet, emerytowany nauczyciel Szaraniewicz i starający się o jego córkę maturzysta seminaryalny Iwan Karunta, który podobno chciałby zająć miejsce po Greissie.

Tak więc i tutaj, jak we wszystkich wogóle „ideowych“ fałszerstwach Rusinów, wyłazi na wierzch brudny, małostkowy interes osobisty.

Pamiętniki z r. 1863

Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna.

(Ciąg dalszy).

W bitwie tej o mało co, że ojciec mój nie dostał się do niewoli. Od mostu na Nidzie, zburzonego za nami, prędko podążyć nie mógł. Chcąc ułatwić sobie pochód, zrzucił płaszcz, i pozostał tylko w cienkiej czamarze.

Po odparciu dragonów i artyleryi poszliśmy prosto do Zagościa, i już noc rozsiadła się na dobre, gdyśmy stanęli przed zabudowaniami dworskiemi.

Bitwa na wzgórzach Zagościa z powodu nocnej ciemnicy była nierozegrana.

Przed zabudowaniami dworskiemi w Zagościu stał śmy może dwie godziny. Nadomiar tego powstał wiatr gwałtowny, a że byliśmy zmęczeni i zgrzani tak bojem stoczonym jak i pochodem szybkim, wiatr mroził nas do szpiku kości.

Tymczasem Langiewicz biesiadował ze swym sztabem we dworze, a wiwaty i toasty dolatywały do nas. Rochebrun i Komorowski w bankiecie tym nie brali żadnego udziału.

W pułku żuawów, najbliżej dworu stojącym, na widok biesiady i biesiadników pojawiła się niechęć która rosła stopniowo z każdą chwilą.

Z początku głosy oburzenia szeptem się odzywały, a w miarę dokuczającego zimna pomrukiem, a w końcu wrzawą i burzą wrogich okrzyków: „Rozstrzelać Langiewicza, rozstrzelać! on źle nas prowadzi“.

We dworze wszystko ucichło, światła pogasły, a Langiewicz z całym swym sztabem opuścił dwór, dosiadł konia i w ciemnościach nocy zniknął.

Cały nasz korpus wyruszył w pochód, a że to było po bitwie, my żuawi, jak zwykle w tylnej straży szliśmy przez noc całą, a o ile wydawać się nam mogło po łunach ognisk przez Moskali rozłożonych, obchodziliśmy ich wielkiem półkolem.

Nad ranem doszliśmy do wsi Wełcze, gdzieśmy nieco wypoczęli, a gdy się już rozwidniło, w tylnej straży poszliśmy dalej, zdążając do lasu za wsią położonego.

Przed wejściem w las spostrzegliśmy Moskali za nami, w znacznem, kilkowiorstowem oddaleniu dążących, tak, że dobrem okiem można było piechotę od kawaleryi odróżnić. — Była to obszerna ku Pińczowu rozciągająca się równina.

Na skraju lasu Langiewicz przez lunetę obserwował idących Moskali. Byliśmy pewni, że wódz nasz i dyktator zarządzi odpowiednie przygotowania do bitwy, która widocznie była tu nieuniknioną; w lepszych bowiem warunkach bitwy przyjąć nie można było: był las, na skraju lasu drzewa grube, a w lesie rowy dosyć zagłębione. Tej leśnej pozycyi nie dalibyśmy sobie wydrzeć, chociażby pięćkroć liczniejszym Moskalom.

Nasz korpus już od godziny stał w lesie, gdy my żuawi dopiero do lasu wchodziliśmy, a usiadłszy z wiorstę drogi otrzymaliśmy rozkaz rozłożyć się obozem i zająć się ugotowaniem wczesnego obiadu. Rozniecliliśmy raźno ogniska, do czego mieliśmy poddostatkiem materyału w poustawionych sągach. Ognie szybko zapłonęły, a tumany gęstego dymu kłębiły się i wznosiły wysoko ponad lasem. Tuż obok ognisk naszych przechodziły dwie świnie; jedną z nich przytrzymaliśmy i zabili, druga zaś uciekła. Zgłosił się później właściciel zabitej świni w osobie leśnego tychże borów, za którą to świnię pułkownik ze swych funduszów zapłacił. Kilka godzin trwało zanim ugotowaliśmy i zjedli obiad, a w trakcie tego myśleliśmy o Moskalach, gdzie też w tej chwili się znajdują. Obozując i gotując obiad nie byliśmy zasłonięci i zabezpieczeni. Nie porozstawiano żadnych pikiet i żadnych posterunków. Pochód zatem Moskali odbywał się bez żadnych przeszkód. Około godziny jedenastej przed południem Moskale uderzyli na nas, obok broni w kozły ustawionej obozujących.

Na huk strzałów zerwaliśmy się jak huragan. Rochebrun shypnotyzował nas swym wzrokiem. Komorowski przedstawił nam grozę położenia bez wyjścia. Dodał, że jesteśmy otoczeni, i że nam wypada tylko drogo życie sprzedać, a przypominając przysięgę na żałobny, a teraz do boju rozwinięty sztandar, wykonaną, pchnął nas w bój, rozdzielając nas na dwie połowy. Pułkownik pieszo ruszył z połową w kierunku północnym na atakującą piechotę rosyjską. Drugą połowę kapitan Komorowski poprowadził mniejwięcej pod prostym kątem na wschód na armaty i na rosyjskich dragonów na łące za wyrębem w linią uszykowanych.

Szliśmy przez młody a gęsty zapust lasowy, rozpuszczeni w linię tyralierską, która w swej rozciągłości około 100 sążni wynosić mogła.

Moskale rozpoznali, że tą gęstwiną idziemy, i otworzyli na nas ogień ze sześciu dział, a że to był las, a dystancye w lesie krótkie, pociskami kartaczowemi nas zarzucali.

Ogień działowy był w swych skutkach strasznym i znaczne spustoszenia wyrządzał. Od większych strat uchroniła ta okoliczność, żeśmy wedle metody wojennej rozsypani byli w szereg tyralierski w odstępach 3 do 4 stóp jeden od drugiego i dużo kul przelatywało temi odstępami.

Niepowstrzymani dotarliśmy do kraju wyrębu, naprzeciw którego w oddaleniu 120 do 140 kroków stało na łące sześć armat odprzodkowanych w równej linii, a obok nich dragoni.

„Tuj! do wysokości końskich łbów cel i pal!“ zabrzmiała komenda.

Skutek naszych strzałów, śmiało powiedzieć mogę, był zadziwiający.

Od artyleryi i dragonów skoziołkowało kilka koni i ludzi, wskutek tego Moskale i konie się skłębiły i zgmatwały, poczem nastąpiła ucieczka;

---

o murach niezwykłej grubości ma poch dzić jeszcze z czasów Leszka Czarnego, druga ma być dziełem tego, co Polskę zastał drewnianą a zostawił murowaną. Niższa część gmachu wystawiona jest z cegły z węgłami i ramami ciosowemi; wyższą zakrywającą dach, a zbudowaną z samej cegły, ozdabiają nisze, nad któremi wznoszą się wykute z ciosu okrągłe strzelnice. Nad strzelnicami widzimy jeszcze szereg ornamentów, między któremi narożne wieżyczki zakończone są bombami na cztery strony płomień ziejącemi. Wieża ratuszowa, składa się z dwu niższych pięter kwadratowych, i dwu pięter ośmiobocznych — zakończona jest hełmem, który zastąpił znajdujący się na niej przedtem zegar i wysoką kopułę.

Ratusz mieści w sobie biura magistrackie — w sklepionych jego salach widzieliśmy kilka portretów (Stanisława Augusta, Stanisława Małachowskiego, Sołtyka) bogate archiwum, miecze katowskie, popielnice, kości mamuta i t. d.

Z ratusza dalszą częścią rynku weszliśmy w uliczkę prowadzącą do katedry. Po drodze wstąpiliśmy na podwórze progimnazjum, mieszczącego się w zabudowaniach dawnego kollegium jezuickiego przy byłym kościele św. Piotra. Gmach, lubo przebudowywany, zachował ślady swej dawnej piękności, zwłaszcza od strony Wisły imponującej się przedstawia w poważnych liniach architektonicznych.

Znowu skręcamy w bok i stajemy przed domem Długosza. Wielki historyk, jako kanonik kollegiaty sandomierskiej wzniósł w r. 1476 ten dom na pomieszczenie mansjonarzy. Prosty, lecz z dobrego materyału wystawiony budynek, przechował się zupełnie do naszych czasów i jest do dziś dnia zamieszkany. Kamienna rzeźbiona tablica z herbem Długosza Wieniawą, podaje wypukłym gotykiem rok i szczegóły fundacji. W sieni zwraca uwagę olbrzymia belka modrzewiowa z datą 1672 r. Cały dom jest z cegły czerwonej w deseń czarną przedzielanej. Wejście i okna obramowane kamieniem ciosowym.

Z domu Długosza już tylko kilka kroków do katedry.

Starożytna ta kollegiata, założona przez Bolesława Krzywoustego, przez Kazimierza W. odrestaurowana, przez Zbigniewa Oleśnickiego powiększona (wielki kardynał zakończył życie w Sandomierzu), przez Władysława Jagiełłę malowidłami ozdobiona, w dawnej dyecezji krakowskiej zajmowała miejsce naczelne i nosiła też nazwę znamienitej (collegiata insignis). Za czasów Królestwa kongresowego, stała się katedrą nowej dyecezji sandomierskiej Piękny ten gotyk, choć ulegał pożarom i przeróbkom, zachował przecież wybitne cechy ostrołuku XIV w, a tem się różni od innych naszych świątyń gotyckich, że dzięki wielkim oknom posiada dużo światła

Nie tu miejsce do kreślenia dziejów tej świątyni, w której murach modlili się królowie, święci i błogosławieni (Jacek i Czesław Odrowążowie, Wincenty Kadłubek), historycy: Długosz i Kromer, kardynałowie i biskupi jak Oleśnicki, Prandota, Bodzanta, Tomicki, Firlej, Teodor Potocki...

Dziś wnętrze świątyni, poza pięknością jej murów, niewiele posiada szczegółów interesujących. Całe jest pokryte mało wartości malowidłami z XVIII w przedstawiającemi to ustępy z ewangelji, to rzeź tatarską, lub sceny z napadu Szwedów. Z fresków wykonanych za czasów Jagiełły przechował się tylko jeden w presbiterjum i to dzięki tylko temu, że był zasłonięty obrazem.

Na jednej z ośmiu wysmukłych kolumn, podtrzymujących sklepienie, wisi starożytny obraz pochodzący z XIV w., a przedstawiający wskrzeszenie Piotrowina. Jest przypuszczenie, że obraz ten pochodzi z daru Jagiełły, który po bitwie pod Grunwaldem przysłał kollegjacie sandomierskiej kilkanaście obrazów z zamku w Dzierzgowie (Dzyrgon) podczas pochodu na Malborg zabranych.

Przez bardzo piękną zakrystję udaliśmy się do skarbca, w którym mieści się i biblioteka ze zbiorem mineralogicznym. Są tu portrety Fl. Czartoryskiego pendzla Bacciarellego, Sołtyka, Turskiego, Długosza, Jana Zamojskiego itd — dalej rękopisy, relikwiarze, różne pamiątki, „osobliwości“. Jest tu pacyfikał zdobyty przez Jagiełłę pod Bobrownikami i ofiarowany przez niego kollegiacie sandomierskiej (podobiznę jego podaje album Hołd Grunwaldowi). Jest portrecik Sobieskiego, dowód wielkiej cierpliwości artysty, bo rysy twarzy króla składają się z drobniutkich liter tworzących opis czynów zwycięzcy z pod Wiednia. Pokazują też w skarbcu rękawiczki królowej Jadwigi, bułkę z czasów oblężenia Sandomierza przez Szwedów itd.

Kollegiatę łączył dawniej most wiszący z zamkiem, założonym przez Kazimierza Wielkiego, odnowionym przez Zygmunta I, wysadzonym częściowo w powietrze za czasów szwedzkich, podtrzymywanym przez Sobieskiego, zdobywanym za konfederacji barskiej, będącym wreszcie świadkiem walk 1809 r. Była to wielka budowla z 3 basztami, z oddrzwiami i oknami z czerwonego marmuru. Ruinę za Królestwa kongresowego w części rozebrano, w części zrestaurowano i przeznaczono

pozostało tylko kilka trupów ludzkich i końskich, również dwie armaty, których Moskale przez prędkość grząską łąką przeciągnąć nie mogli.

Po odparciu Moskali z tej strony, Komorowski zwrócił nas w kierunku północno-zachodnim, aby pierwszej kompanii przybyć z najrychlejszą pomocą. Tu rozpoczął się w dalszym ciągu bój rozpaczliwy. Szaleństwo dwóch połączonych kompanii zrobiło swoje. Błyski strzałów i odblask białej broni gasiły życie ludzkie po obu stronach wojujących.

Moskiewska piechota w szeregach zwartych, jak płot ruchomy posuwała się naprzód, my zaś w linii przerzedzonej uderzyliśmy z taką gwałtownością, a nawet z brawurą, że pomimo niestosunkowych sił Moskale na całej linii odparci zostali.

Z początku był to bój rozpaczliwy, ale kiedy poczuliśmy się na wysokości zwycięzcy, przybrał charakter zawadyacki.

Kolega Pędracki i kilku innych, pokazując Moskalom odwrotną część medalu wołali „strzelaj".

Do ataku tego pomogły nam inne oddziały, t. j. strzelcy, którzy w znacznej liczbie i wespół z nami ataki wykonywali.

Pierwsza linia nieprzyjacielska złamana i w tył odrzucona została. Cała północna i wschodnia strona naszych improwizowanych pozycyi została otwartą i od Moskali chwilowo uwolnioną.

Broń mojego ojca, t. j. dubeltówka myśliwska grubym szrutem nabita, na krótkie w lesie strzały, znaczne nam przyniosła usługi, każdy bowiem strzał był pewny i śmiertelny.

Mojemu ojcu kule moskiewskie podziurawiły czamarkę, a białe strzępy waty na tle czarnem zdala widne były, co też nasi żuawi spostrzegłszy w górę go podnieśli i obnosili po pobojowisku.

Jenerał rosyjski Czengiery osobiście prowadził ataki. On to później w innej części lasu zbierał wszystkie swe siły, aby jeszcze raz atakować i niemi stanowczy cios nam zadać.

Po naszej stronie na nowej linii bojowej, opartej o lekkie wzgórze z młodym wyrąbem lasowym, siły nasze, z początku bitwy rozproszone, coraz liczniej poczęły się gromadzić i utworzyły poważny zastęp.

Jenerałowie Waligórski i Śmiechowski, tudzież Rochebrun i Komorowski uwijali się szalenie, aby zebrane oddziały rozmaitych broni uporządkować i do sprawności bojowej przyprowadzić.

Nas żuawów dużo już ubyło.

Kiedy nasza druga kompania z kapitanem Komorowskim szła na dragonów i armaty, brat mój Walery na wyrąbie został ugodzony kartaczem w nogę powyżej kolana, upadł i pozostał w gęstwinie leśnej. Miał on wołać na mnie i na ojca mojego o pomoc. We wrzawie ogłuszającej wołania jego nikt z nas nie usłyszał. Kula działowa zmiażdżyła mu nogę tak, że na odbitej piszczeli swej nogi leżał w dołku obok przestrzelonego przez piersi Stanisława Skrzyńskiego, który po czterech dniach męczarni, przywieziony do Buska, skonał.

Ja i ojciec mój z zamętu dotychczasowej bitwy wyszliśmy zdrowo i cało.

Kiedy cała siła nasza na bojowej linii w pogotowiu stanęła, przybiegł do mnie kapitan Komorowski z rozkazem, abym w tej chwili udał się w kierunku wskazanym przed linię bojową i jedną sekcyę naszych żuawów, w tej stronie się znajdującą, sprowadził tu do nas na linię.

Ojciec mój przewidując dla mnie niebezpieczeństwo, prosił Komorowskiego, aby mu pozwolił razem ze mną tam podążyć, do czego się Komorowski przychylił.

Szliśmy obaj przed linią bojową w stronę, gdzieśmy pierwszy atak piechoty rosyjskiej odparli.

Z wyrąbu, t. j. z podstawy naszych operacyi, zeszliśmy na dolinę, na bagnistą łąkę, długiem a wąskiem pasmem wśród lasu się ciągnącą, którą w znacznem oddaleniu zamykały mury starego pokamedulskiego klasztoru. Z tego to klasztoru Moskale do nas strzelali. Byliśmy jednak poza linią strzałów, bo kule dolatujące utracały swą siłę i tylko po łące rekoszowały. Aby ich uniknąć przebiegliśmy prędko przez łąkę i dotarliśmy do lasu grubego a niegęstego, nie dalej jak 500 kroków od linii bojowej oddalonego.

W tym to lesie padły strzały nieregularnie detonujące. Byłem pewny, że to niebezpieczna pomyłka, że nasi nas nie poznali, że nas za Moskali wzięli i do nas strzelają. Wytężonym wzrokiem spostrzegłem, że to nie nasi byli, ale Moskale. I rozległa się salwa do nas dwóch skierowana.

Ojciec mój runął z jękiem na ziemię, a wymawiając jakąś modlitwę w drżeniach kurczowych ułożył się do snu wiecznego.

Wyrazy konającego ojca i jego rozdzierające jęki słyszę jeszcze i całe moje życie słyszeć będę.

Prawie jednocześnie zostałem ugodzony kulą, która z impetem na ziemię mnie powaliła.

Bólu żadnego ani bojaźni nie odczuwałem, bo z żalu za ojcem dusza moja była rozdarta.

Kilku żuawów, za którymi prawdopodobnie kapitan mój mnie wysłał, przybiegło do mnie z boku, położyli mnie na karabiny i przy rytmie strzałów do linii bojowej unieśli.

Pułkownik Rochebrun przyszedł do mnie, coś mi mówił, czego ja nie rozumiałem i zapłakał nademną. Wydał rozkaz, aby kosynierzy zanieśli mnie dalej w las, gdzie w znacznem oddaleniu rannych znoszono i składano.

W pobliżu nas, a na tyłach naszych walczących szeregów, ukazali się kozacy, lecz nas nie spostrzegli, bośmy właśnie weszli w gęstwinę młodego lasu, a znów jeszcze dalej spotkaliśmy dwu jeźdźców, zapewne do sztabu należących, którzy mnie wypytywali o szczegóły stoczonej bitwy.

Po mojem ustąpieniu z szeregów walczących, bitwa wieczorem o zmroku rozegraną została, i zakończyła się zupełnem rozbiciem Moskali, którzy małemi gromadami i kupkami do późnej nocy się błąkali.

Taki oddziałek, wraz z komendantem roty, oficerem już w starszym wieku, dostał się do naszej niewoli. Konwojowali go nasi aż do Opatowca, poczem wypuścili ich razem na wolność, odebrawszy od oficera przyrzeczenie, że z nami więcej walczyć nie będzie.

I zaiste dziwny to był bój, stoczony w warunkach dla nas w takim stopniu niekorzystnych, ze siłami większemi i wojskiem regularnem i dobrze uzbrojonem.

Z początku bitwy, nim się zwycięstwo na stronę naszą przechyliło, chodziło nam o to, aby życie swoje ile możności najdrożej sprzedać i to położenie zmusiło nas do walki upartej o śmierć i życie, do czego nas zachęcił i przygotował dzielny nasz kapitan Komorowski. Wytrzymaliśmy rozszalały ogień artyleryi i ręcznej broni, a w dodatku tak Moskali rozbiliśmy, że w cztery wiatry rozpierzchli się i uciekli w stronę Kielc.

Późno w noc, może koło północy, przytoczyły się zarekwirowane podwody i zawiozły nas do Wełcza, gdzieśmy na słomie resztę nocy przespali. Obok mnie leżał mój kapitan Komorowski, ciężko raniony.

Rano, po udzieleniu nam pierwszej pomocy lekarskiej, rozmieszczono nas wygodnie po kilku na jednej podwodzie, i posłano przez Wiślicę, Opatowiec do granicy galicyjskiej.

Długi tabor wozów z rannymi konwojował do granicy pluton kawaleryi narodowej.

W drodze pomiędzy Wiślicą a Opatowcem dowiedzieliśmy się o ucieczce dyktatora i jego sztabu i o jego uwięzieniu przez władze austryackie od dwu dni na granicy na niego wyczekujące.

Po całodziennej jeździe wieczorem przeprawiliśmy się na prawy brzeg Wisły, gdzie wojsko i żandarmerya również oczekiwały na przybycie nasze.

Pomiędzy wojskiem austryackiem a taborem wozów zobaczyłem naczelnika powiatu ze Żabna Stefana Gałeckiego, ojca mojego kolegi szkolnego. Ten poznał mnie i rozkazał, aby mnie zaniesiono na przygotowaną jedną z podwód, i do wsi Dyjamentu odwieziono, gdzie w budynku szkolnym noc przepędziłem. Na drugi dzień rano przez Otwinów i Żabno zawie-

---

na więzienia. Ta reszta, i tak jeszcze olbrzymia, dawnego zamku, stoi na znacznem wzniesieniu, otoczona murem, z dwu staremi basztami. W baszcie od Wisły ma się znajdować jeszcze kwadratowy pokoik ze śladami dawnych malowideł. Jest w zamku i dawna kaplica; ma być i napis, mówiący o restauracji zamku za Zygmunta I. W zamku tym przebywali jeńcy krzyżaccy z pod Grunwaldu. — Zamek oglądaliśmy tylko z wierzchu, bo wejście do niego wzbronione.

Na tem skończyliśmy przechadzkę po Sandomierzu, bo zmrok już zapadał.

Samo miasto jest dość brzydkie, nieinteresujące. Niema życia i ruchu, bo znajduje się w zapadłym kącie, oddalone o sześć mil od kolei. Ale ma przepiękne położenie. Pomijając wspaniałą panoramę od strony Wisły, wiele uroku dodaje Sandomierzowi jego pagórkowaty teren: wszędzie wąwozy, jary, spadki i wzniesienia, a wszystko tonie w zieleni ogrodów, wszędzie otwierają się nowe, a piękne widoki, to na Wisłę, to na tak zwane góry pieprzowe, to wreszcie na starożytne zabytki. Zresztą już dla samej takiej bramy Opatowskiej, dla takiego kościoła św. Jakóba i takiego ratusza warto zwiedzić Sandomierz.. A ma on jeszcze kilka zasługujących na zwiedzenie kościołów, ma jeszcze sporo pamiątek i wspomnień drogich...

„Ktokolwiek rozczytał się w naszych kronikach i dziejopisach (słowa Dotmy), kto zbadał koleje tego miasta dziwne, groźne i poetyczne, jak straszna powieść przy ognisku, ...ten z pochylonem czołem wjeżdża w owe mury, na których sądzi jeszcze dostrzegać ślady krwi męczeńskiej, gdzie każde stąpnienie odsłania krajobraz, a każdy kamień opowiada o dniach radości i chwały".

Bo choćby, pomijając dawne dzieje i legendy, czasy tatarskie, szwedzkie, — choćby rok 1809! Choćby to odebranie Sandomierza przez Sokolnickiego, po 14 letniej niewoli austryackiej, choćby ta bohaterska późniejsza obrona, którą Żeromski opisał w swych „Popiołach"...

Nazajutrz (18) już o g. 6 rano uczestnicy wycieczki byli na nogach, bo o g. 7 odchodził parostatek, który miał ich powieźć do Kazimierza.

Na pokładzie statku ruch ogromny. Setka podróżnych i druga setka posługaczy i „odprowadzających" kręci się, biega, kupuje bilety, układa rzeczy, wylatuje wreszcie na brzeg, aby zaopatrzyć się w owoce. A jakie to owoce! Takim przypatrujemy się u nas jedynie na wystawach ogrodniczych — na targach ich nie dostaniemy nigdy, a w sklepach bardzo rzadko i to na wagę złota. Zwłaszcza jabłka imponują nam wielkością i smakiem, a zachwycającą taniością.

Ale oto statek rusza. Płyniemy, zostawiając za sobą srebrną mleczną drogę z rozbitych na pianę fal wiślanych. Na pokładzie dość zimno, bo mimo pogody poranek chłodny, co na wodzie silnie się odczuwa — a jednak mało kto z „wycieczkowców" schodzi do kajuty, bo każdy pragnie nacieszyć się jeszcze panoramą Sandomierza. Widzimy nietylko wszystko to, cośmy wczoraj oglądali, ale i rzeczy nowe, jak sylwety niezwiedzanych kościołów, lub ów potężny szpichlerz starożytny wznoszący się nad brzegiem Wisły... Z prawej strony widać niziny galicyjskie z Nadbrzeziem i portem niedawno za miljony ku radości firmy Goldlusta zbudowanym, który zapewne z ciekawością zastanawia się nad tem poco go postawiono, skoro nikomu na nic nie jest potrzebny.

Płyniemy koło „gór pieprzowych". Są to dość znaczne, nagie, jednostajne wzniesienia, poprzecinane wąwozami; czynią wrażenie olbrzymich szańców..

O milę za Sandomierzem przyjmuje Wisła wody Sanu, — znów mila i ukazują się nam mury Zawichostu.

Cisną się historyczne wspomnienia. Wszak to tu wojska Leszka Białego sprawiły klęskę najeźdźcy Romanowi Halickiemu, który życiem pożądanie cudzego przypłacił (1205). A co za ogrom wspomnień z czasów napadów tatarskich, litewskich i szwedzkich. Aż tu zapuścił Jagiełło swe litewskie zagony, miasto spalił, ludność wyciął — a wkrótce później tędy szła mu droga do Krakowa, by pojąć Jadwigę i włożyć koronę polską na swe skronie. Trzy dni tu bawił w zamku zawichostskim — stąd wyprawił poselstwo do stolicy zawiadamiając o swojem przybyciu... Tu Bolesław Wstydliwy wzniósł klasztor Damianitek (św. Klary) w którym ksienią była siostra jego św. Salomea. Przy niej zamieszkała i umarła matka jej Grzymisława, żona Leszka Białego, na prośby której Bolesław Wstydliwy zbudował w Zawichoście drugi klasztor i oddał go Franciszkanom.

Dziś o dawnej zamożności Zawichosta świadczą tylko dwa kościoły i ruiny wielkich szpichlerzy (jeden z nich miał być postawiony przez słynnego Wierzynka). Ruiny obszernego zamku, stojącego dawniej na osobnej kępie, zabrał w r. 1813 olbrzymi wylew Wisły, która od tego czasu zmieniła pod Zawichostem swoje koryto.

Za Zawichostem koło Słupi lewy brzeg Wisły dochodzi do najwyższego w tych stronach wznie-

ziono mnie do Tarnowa, do domu państwa Eliaszewiczów, gdzie otoczono mnie opieką lekarską. Przybywali do mnie lekarze miejscowi i zamiejscowi i badali kierunek i osadzenie się kuli w najgrubszej piszczeli prawej mej nogi. Kuli jednak wyjąć nie mogli, ponieważ utkwiła i wraz z kością zapadła się do środka. Dopiero w niedzielę przybyli do mnie profesor dr Gilewski, Skalski i Długołęcki i ci, po rozcięciu ciała i obnażeniu kości, kulę wydobyli. Kości odbitej i do środka zapadłej wyjąć nie mogli i pozostawili ją zwykłemu procesowi ropienia.

W czerwcu kiedy już na kulach przechadzać się mogłem, opuściłem dom zacnych Elijaszewiczów i udałem się do Rzeszowa do bliskich krewnych po kądzieli, którzy z polecenia dr. Komarnickiego wysłali mnie do wód siarczanych w Lubieniu, gdzie na kuracyi całe lato przepędziłem. Z Lubienia wyjechałem do Krzeszowic, gdzie w ambulatoryum Arturowej hr Potockiej, dla rannych powstańców urządzonem, do dnia 7 lipca pod opieką dra Oszackiego przebywałem. Tu odbitą i zapadłą kość wydobyto, poczem kuracya bardzo prędko postępowała.

W lipcu względnie zdrowy i cały z Krzeszowic wyjechałem do Lwowa, ażeby sobie wyrobić przyjęcie do szkoły rolniczej w Dublanach. Obiecał przyczynić się za mną hr. Adam Zamojski z Ochladowa, z którym poznałem się był w Lubieniu.

We Lwowie zaraz u wstępu, jeszcze w wagonie zamkniętym, zostałem aresztowany i przez kilka tygodni więziony.

Po wypuszczeniu na wolność znalazłem się opuszczony, bez chaty, bez chleba i przyszłości. Bóg przecież pozwolił, że i na bezdrożu wybrałem drogę, która mnie aż do Wadowic, do babiogórskiego skłonu doprowadziła.

Przed zakończeniem moich smutnych, a wiernie streszczonych pamiętników, powrócę jeszcze do sprawy głównej, do osi, na której dziwnem zrządzeniem stanął dyktator Langiewicz. Zachowanie się jego w czasie dyktatury aż do dnia 18 marca, do dnia bitwy pod Grochowiskami, bez współudziału jego sztabu, może obudzić wiele domysłów w postawieniu smutnej i ponurej hipotezy do zdrady stanu schodzącej. (D. n.).

Ks. Piotr Wawrzyniak.

Wielkopolska straciła jednego z najlepszych swych synów — a ta jej strata, to strata całego narodu.

Ks. Piotr Wawrzyniak, patron „Związku spółek zarobkowych“ w Wielkopolsce, był jednym z tych, co rozumieli, że dobrobyt materyalny i stały rozwój gospodarczy jest jednym z głównych warunków utrzymania polskości pod zaborem pruskim. Czy tylko pod pruskim? Nam się zdaje, że pod każdym.

I my to niby rozumiemy, przynajmniej tak mówimy i piszemy, ale od zrozumienia do czynu droga daleka. Rozumiemy, a jednak całe swe siły zużytkowujemy przeważnie na walki partyjne, na wybory, których rezultatem jest to jedynie, że raz X. drugi raz Y. pnie się po drabinie karyery.

Ks. Piotr Wawrzyniak rozumiał i działał — i stał się dla Prusaków „najniebezpieczniejszym Polakiem“, „geniuszem finansów“ i „nieukoronowanym królem zaboru pruskiego“.

„Przedewszystkiem — pisze *Dziennik poznański* — ś. p. ks. Patron był genjalnym ekonomistą. Obejmował w sposób wyjątkowo doskonały całokształt nader skomplikowanych w dzisiejszych czasach stosunków gospodarczych i z wprost zdumiewającą łatwością orjentował się w najbardziej nawet zawikłanych kwestjach ekonomicznych. Zrozumieć można, że pod kierownictwem takiego człowieka życie nasze gospodarcze, ujawniające się na zewnątrz przedewszystkiem we wszelkiego rodzaju spółkach, cieszyło się tak pomyślnym rozwojem.

„Jako gospodarz wielce przezorny, ś. p. ks. Patron przewidywał, że przyjdzie mu z czasem złożyć berło i przygotował należycie dom swój na wszelki wypadek. Wychował więc cały zastęp ludzi, którzy prowadzić będą w jego duchu ważne dzieło gospodarczego podnoszenia społeczeństwa. Nie mniej przeto zabrakło nam wodza, którego wzrok bystry obejmował całą armję, wnikał w jednej chwili we wszelkie najskrytsze tajniki, spostrzegał odrazu wszelkie błędy i niedomagania i zarządzał niezwłocznie najwłaściwsze, najskuteczniejsze środki zaradcze.

„Ale genjalność ekonomiczna nie była jedyną, nie była nawet najważniejszą cechą tej potężnej indywidualności. Co ją przedewszystkiem wyniosło wysoko ponad wszystkich współczesnych współobywateli, to **poświęcenie bez granic dla dobra ogółu**, dla pomyślności społeczeństwa. Wielki ten, prawdziwie opatrznościowy mąż odznaczał się wyjątkową abnegacją. **Wszystkie jego czyny, wszystkie jego myśli nieledwie skierowane były ku jednemu wzniosłemu celowi, miały na oku dobro społeczeństwa, dobro ojczyzny...**

Kurjer poznański pisze:

„Na zawsze bić przestało serce wielkiego patrjoty, niezwykłego działacza, niestrudzonego bojownika. Na wielkość zmarłego złożyła się przedewszystkiem potęga jego indywidualności. Indywidualność to była tak bujna, że nie było prawie dziedziny pracy społeczno-narodowej, na którą ś. p. ks. prałat Wawrzyniak nie byłby rzucał ziarn swej myśli twórczej...

„Z siłą indywidualności łączyła się potęga pracy. Ta niezmordowana energja działania dochodziła granic, dla przeciętnego śmiertelnika prawie że zagadkowych. Ś. p. ks. prałat Wawrzyniak miał stale program pracy tak naprzód ułożony, że każda niemal minuta była wyzyskana, że opuszczając jeden teren działalności, już kroki swe zwracał ku nowemu warsztatowi pracy publicznej“.

Dziennik berliński pisze:

„Czy w upalne dni lata, czy w słotne lub mroźne dni zimowe, śpieszył ten wielki organizator z miasta do miasta, ze wsi do wsi, aby istniejącą już spółkę zrewidować, lub gdzie widział ich potrzebę i sprzyjające warunki, nową założyć. Rozkosz była patrzeć, jak on spółkę rewidował, jak orli jego wzrok w jednej chwili wynajdywał błędy i braki.

Ale nietylko na polu finansowo-ekonomicznem położył niespożyte zasługi dla społeczeństwa. Bujna jego natura rwała się do wszelkiej pracy społecznej i nie było w ostatnim czasie sprawy, w którejby zmarły nie miał głosu decydującego. Władza sama leciała mu do rąk i **nawet ci, którzy nie ze wszystkiem godzili się na niektóre szczegóły jego działalności, poddawali się jego komendzie**, uznając jego rozum, znakomity talent organizacyjny i gorące poczucie obywatelskie“.

Chcąc zrozumieć działalność ks. Wawrzyniaka, należy rzucić okiem na przeszłość tej organizacyi, którą do tak świetnego doprowadził rozwoju.

Około r. 1850 Wielkopolska smutny przedstawiała obraz. Wielka własność ziemska ogromnie była obdłużona; subhasty majątków stały na porządku dziennym. Chłopi, nie umiejąc użyć świeżo nadanej im wolności, gospodarzyli źle i tracili szybko swe mienie. Wszyscy zaś ziemianie i gospodarze, rozsiani rzadko po kraju kupcy i rzemieślnicy, pod względem zbytu, zakupów i kredytu zależni byli od żydów, którzy w stosunku 50 do 30 procent zaludniali wówczas jeszcze wszystkie miasta i miasteczka. Lichwa, wyzysk, nadużycia i oszustwa były codziennym chlebem, a brak kapitału i kredytu u swoich z każdego przedsiębiorcy polskiego czynił bezbronną ofiarę obcych. Szerzyli się natomiast i bogacili żydzi i niemcy, występujący już wówczas zgodnie, jako sojusznicy przeciw tubylczej ludności kraju.

Pierwszy zwrot ku lepszemu nastąpił z inicjatywy kupców i inteligentów poznańskich. Założone w r. 1848 Tow. przemysłowców („Stary przemysł“), otworzyło w r 1861 Kasę pożyczkową (dzisiaj „Bank przemysłowców“), celem udzielania rzemieślnikom i przemysłowcom „pożyczek w go_

---

sienia. Wisła opuściła już Galicję i stanowi granicę gubernji radomskiej i lubelskiej. „Kapitan“ parostatku objaśnia nas, że widać zdaleka Annopol (Rachów), Rybitwy i t. d.. Następnie po prawej stronie (w lubelskiem) ujrzeliśmy ze znacznej odległości ruiny dwupiętrowego pałacu wzniesionego na wzgórzu. To Józefów, własność niegdyś Potockich. Prócz ruin pałacu, przed oczami naszemi przesunęła się sylweta kościoła i klasztoru pobernardyńskiego. Józefów ma i to wspomnienie, że pod nim odbyła się jedyna potyczka z Austrjakami w r. 1794. Austrja, nie wydając Polsce wojny, patrzyła spokojnie na zapasy Kościuszki z armją pruską i rosyjską, a kiedy pole walki oddaliło się od jej granic, posunęła swe wojska w lubelskie i sandomierskie, aby mieć później podstawę do podzielenia się łupem. Unikano spotkania z jej wojskami, bo już i dwu wrogów było zadużo. Jedynie major Cybulski w 120 ludzi uderzył na 1500 austrjaków pod Józefowem, a ten niespodziewany napad tak ich przeraził, że rzucili się do ucieczki zostawiając 9 galarów zboża i magazyny w Józefowie. Procz tego Cybulski wziął do niewoli 75 żołnierzy austrjackich. Kościuszko przysłał mu w nagrodzie pamiątkowy zegarek.

Mijamy długą wieś Kaliszany, gdzie Wisła dosięga największej w tych stronach głębokości (tu główny połów jesiotrów), poczem przybijamy do Solca.

Stara ta osada, nad Krępianką wpadającą do Wisły, związana jest z legendą o świętym Stanisławie i wskrzeszeniu dziedzica Piotrowina. Biskup oskarżony o nieprawne posiadanie Piotrowina, miał stanąć w Solcu przed sądem króla, który tu umyślnie przybył w r. 1078. Legenda zbyt jest znana, aby ją powtarzać. Solec znajduje się na lewym brzegu Wisły, wieś Piotrowin na prawym. Czerwony kościołek piotrowiński okrywa z jednej strony olbrzymia lipa, według podania ręką św. Stanisława zasadzona.

W Solcu był niegdyś wspaniały zamek, oddzielony od miasta przekopem, otoczony ogrodem włoskim z fontannami. Dziś z tego zamku pozostały jedynie resztki ruin. Prócz nich widzimy z parostatku dwa kościoły, z których jeden posiada pomnik swego fundatora Krzysztofa Zbaraskiego, starosty soleckiego.

Zaledwie opuściliśmy Solec, ukazały nam się zdala potężne mury zamku w Janowcu. Wisła tak się tu kręci, że jadący nie może sobie zdać sprawy na którym brzegu wznoszą się ruiny, — choć patrzy na nie blizko całą godzinę. Dopiero dojeżdżając do Kazimierza widzi, że po lewej stronie pozostawił starą siedzibę Firlejów.

Fundatorem zamku był „wielki budownik“ (jak go nazywa Paprocki) Piotr Firlej, wojewoda ruski. Olbrzymi gmach mieścił w sobie 7 sal i 98 pokojów, z pięknemi malowidłami, z marmurowemi posadzkami, kolumnami i kominkami. Gościli w nim królowie: Zygmunt III, Michał Korybut, August II. Od Firlejów przeszedł zamek z Janowcem do Tarłów, a potem do Lubomirskich. Zamieszkiwał go słynny Jerzy Lubomirski — odnowił go i ozdobił w XVIII w. głośny z przygód i awantur Marcin Lubomirski..

Są to jedne z najpiękniejszych ruin w Polsce. Ogromne, okazałe, trzymają się jeszcze dobrze, lubo barbarzyńskie ręce przed stu laty wydobyły z nich wszystko drzewo i żelazo.

A po drugiej stronie Wisły naprzeciw Janowca leży Kazimierz. Wszyscy wybiegli z kajut, aby patrzeć na cudną jego panoramę...

Jestto jakiś kaprys natury. Wśród nizin, wśród piaszczystych, przeważnie nagich i dość monotonnych brzegów Wisły, wyrasta szeroko wyniosłe wzgórze pokryte wspaniałym szmaragdem pnących się malowniczo w górę sadów. A wśród tej przepysznej zieleni sterczą omszałe pleśnią wieków szpichlerze, ukazują się wieżyce kościołów i szczyty starożytnych budowli z zębatemi attykami. A nad tem wszystkiem wznoszą się ruiny Kazimierzowego zamczyska, a nad nimi jeszcze widzimy stojącą samotnie potężną, okrągłą strażnicę.

Na przystani nikt nas nie oczekiwał, nie było nawet wózka pod rzeczy. Zawdzięczaliśmy to... skrupulatności poczty kazimierskiej. List nasz wysłany pod adresem: „J. Berens, właściciel hotelu i restauracji w Kazimierzu, gub. lubelska“ doszedł wprawdzie do miejsca przeznaczenia, ale nie został oddany adresatowi, ponieważ poczta znała wprawdzie Berensa, właściciela jedynego hotelu i jedynej restauracji, ale imię jego nie od J. lecz od A się zaczynało. A więc w dwa tygodnie po powrocie wycieczki odebrała „Straż Polska“ list swój napowrót z dopiskiem po rosyjsku: „w Kazimierzu adresat nieznany — jest Aleksander Berens“. Ścisłość imponująca, inteligencja rozrzewniająca!

Szczęściem zjawił się jakiś żydek i pobiegł po wózek do miasteczka. Oczekując na jego powrót zwiedziliśmy tymczasem najbliższy szpichlerz, a raczej jego ruiny, w części których jakiś mieszczanin ulepił sobie mieszkanie. (C. d. n.)

K. Bartoszewicz.

tówce ku polepszeniu ich bytu materjalnego, przez rozwinięcie i podniesienia przemysłu, któremu się oddają". Przez dziesięć lat powstało takich spółek, przyjmujących depozyty i udzielających, za poręczeniem lub zastaw papierów wartościowych, pożyczek — 35. Prowadzone były odrębnie, bez należytego prowadzenia książek, bez kontroli i bilansu; często obywały się bez rad nadzorczych, część ich nie była nawet zapisana w sądzie.

To też, kiedy z inicjatywy miejskiej uchwalono w r. 1871 założenie Związku spółek i na patrona przystępujących do tej organizacji 19 spółek obrano ks. Augustyna Szamarzewskiego z Środy, działalność jego nadzwyczaj była trudna i przykra. Spółki nie chciały często poddawać się kontroli; o istnieniu ich, walnych zebraniach i bilansie rocznym patron dowiadywał się dopiero z gazet, a niejednokrotnie po kilka tygodni bawić musiał w jednem miejscu, zanim uregulował interesy jednej spółki. Jednakże powaga księdza-obywatela i patrjoty-powstańca, gorąca miłość sprawy i poświęcenie, z jakiem spełniał swe obowiązki, sprawiły, że już w r. 1873 do Związku należały 43 spółki z 7660 członkami, udziałami w wysokości 624000 mk., $2^1/_2$ miljonami depozytów i 75000 marek rezerw.

Niestety, kryzys finansowy 1873 r., upadek licznych przedsiębiorstw pieniężnych (polski bank „Tellus" w Poznaniu stracił 15 miljonów marek), likwidacje i konkursy zachwiały Związkiem, a nieufność do własnych sił banków odstraszyły od spółek szerokie koła społeczeństwa. Mimo wszelkich wysiłków patrona, ogólny bilans Związku w tym okresie jest zmienny, ubywa członków, udziałów i depozytów, a instytucja stałych rewizorów, przydanych patronowi, nie przynosi spodziewanej zmiany. Taki stan rzeczy trwał aż do ustanowienia drogą ustawodawstwa prawa spółkowego z dniem 1-go maja 1889 r. Władze państwowe przepisywały w niem obowiązkową rewizję każdej spółki w przeciągu dwu lat i obowiązywały do usunięcia wytkniętych przez rewizora niedostatków.

Wówczas ks. Szamarzewski postawił wniosek o podzielenie dotychczasowego Związku na trzy części. Sprzeciwił się temu ks. Piotr Wawrzyniak, wychodząc z założenia, że rozbicie zjednoczenia zgubne dla spółek wywoła skutki. Zdanie jego nie znalazło jednakże większości, a że spółki konsumcyjne na Górnym Śląsku (t. zw. smutnej pamięci „Schnapskonsume") były już wówczas upadły, podzielono spółki w W. Ks. Poznańskiem i Prusach królewskich na trzy związki obwodowe, z siedzibami w Poznaniu, Bydgoszczy i Kwidzynie. Smutne wyniki okazały się niebawem. Pozostał patronat, ale związki poszczególne odmawiały mu uznania, młodsze i słabsze spółki, pozbawione opieki centrali, zaczęły pracować z niedoborem, słowem nieład znów zaczął się wkradać do instytucji, która powołana była do wyzwolenia ekonomicznego kraju i utworzenia własnych, niezależnych podstaw bytu społecznego.

W takich okolicznościach umarł nagle ks. Szamarzewski 1891 r., a sejmik, zwołany do Środy uchwalił połączenie ponowne wszystkich spółek w jeden Związek i patronat nad nim oddał ks. Wawrzyniakowi.

Z chwilą, kiedy W. obejmował zatwierdzony przez rząd w 1892 patronat, Związek liczył 76 spółek, 27600 członków, 3 miljony udziałów, $12^1/_2$ miljona depozytów i $1^1/_4$ miljona rezerw.

Dzisiaj w skład jego wchodzi 248 spółek, 124 tys. członków, 23 miljony udziałów, 200 miljonów depozytów i 10 miljonów rezerw, a założony w r. 1855, jako regulator przypływu i odpływu pieniędzy po spółkach, bank Związku z kapitałem zakładowym 40.000 mk., ma dziś 40 miljonów majątku i jest największą i najpoważniejszą instytucyą finansową Wielkopolski.

Te liczby ostatnie, to suchy bilans pracy ks. Wawrzyniaka. Ale nie mówią one jeszcze wszystkiego, nie określają dostatecznie całokształtu jego działalności, chociażby tylko na polu ekonomicznego rozwoju i uniezależnienia kraju. I dlatego na przytoczeniu liczb tych poprzestać nie można.

Ks. Wawrzyniak w nieustannej energicznej pracy zaprowadził ład i porządek w filjach związkowych. Przedewszystkiem nadał im jednolitą formę działania i normowania obrotów finansowych. Potrzeba było nadto ludzi zdolnych, chętnych i rutynowanych. Tych wyszukał i wychował zmarły patron. W ustawicznych swych podróżach po kraju — wkońcu dla szybkości i niezależności rozjazdów kupił sobie samochód — poznał doskonale inteligencję i zdolności społeczeństwa. A miał rzadki dar ocenienia odrazu wartości danego osobnika. Więc jego zasługą jest dzisiaj fakt, że w zarządach i radach nadzorczych spółek zasiadają ludzie sumienni, punktualni i subtelni w prowadzeniu spraw pieniężnych, a u ogółu zdobył bezwzględne zaufanie do uczciwości i umiejętności urzędników.

Delegatów z ich łona corocznie gromadził na sejmikach, które coraz wyraźniej przybierały cechy kongresu zawodowców. On prowadził obrady i wybierał aktualne tematy. Jednocześnie z sejmikiem przystępowały do pracy komisje, wybierane umiejętnie z łona uczestników. Przedstawiano im materjał gotowy. Po sumiennem jego opracowaniu przedstawiano wynik w *plenum*, a po zatwierdzeniu odpowiedniej rezolucji wprowadzano ją niezwłocznie w czyn. Czuwał nad tem patronat, w którym grono z szczegółową ścisłością dobieranych urzędników o najdrobniejszych pamiętało sprężynach życia spółkowego. Głównych wskazówek udzielał, przez ks. Wawrzyniaka redagowany *Poradnik dla spółek*.

Koniecznem jednakże było uwzględnienie jeszcze jednego momentu. Rozwój spółek i ich popularność budziły chęć wyzysku u swoich, niechęć i zazdrość u obcych. Patron i w tym względzie wyszedł obronną ręką. Nie pozwolił w żadnym przypadku na odstąpienie od zasad ekonomicznych dla pobocznych, chociaż może najsympatyczniejszych zkądinąd celów.

Ta objektywność i bezstronność okazała się najskuteczniejszą obroną przed atakami wrogiego żywiołu niemieckiego. Zamiar odebrania Związkowi prawa rewizji, z powodu nietolerancji językowej wobec członków niemieckich, próba odebrania mu kredytu w centralnej spółkowej kasie pruskiej, na tej samej podstawie, i nakaz, wydany do urzędników niemieckich, aby ze spółek polskich wystąpili; wszystkie te próby zniweczenia siły materjalnej Związku odparł patron zwycięsko.

Doskonałe powodzenie spółek pożyczkowych: „Rolników", „Kupców" i „Banków parcelacyjnych" w W. Ks. Poznańskiem i Prusach król. doprowadziło budzącą się do nowej żywotnej pracy społecznej ludność Śląska do wznowienia próby zorganizowania się na innej, niż poprzednio, podstawie. Akcja ta udała się najzupełniej i dzisiaj istnieje już 20 spółek śląskich, które dążą do zorganizowania się w bratni Związek z odrębnym patronatem. „Gdyby odpowiednie starania u rządu nie odniosły skutku — pisze ks. Wawrzyniak w r. 1909 — gdyby, mimo traktowania spraw spółkowych wyłącznie ze stanowiska finansowo ekonomicznego, rząd prawa rewizyjnego odmówił, w interesie spółek śląskich leży, aby do Związku, mającego polskich rewizorów (zatem poznańskiego), przystąpiły". Niewątpliwie też tak się stanie.

Tak wygląda całokształt życia spółkowego w zaborze pruskim, po dwudziestoletniej pracy ks. Wawrzyniaka. Wywarła ona wpływ namacalny na wygląd gospodarczy Wielkopolski. Stopień procentowy ludności żydowskiej spadł gwałtownie w miasteczkach, gdzie przed 50 laty było 30 procent żydów niemieckich (polskich zabór pruski nie zna), dzisiaj jest zaledwie kilka rodzin lub niema ich wcale. Tem samem upadły lichwa i wyzysk. Spółki, udzielając rzetelnego i taniego kredytu właścicielom ziemskim większym i mniejszym, kupcom i rzemieślnikom, dały im samopomoc i samoobronę i obudziły poczucie niezależności i siły. „Rolniki" normują ceny targowe zboża i produktów i chronią chłopa przed niesumiennością żydowskiego kupca; „Kupcy" umożliwiają przemysłowcom wspólne zakupy towaru, regulują jego interesy i sprawy wekslowe; Banki parcelacyjne umożliwiają wychodźcom nabycie kawałka ziemi z zaoszczędzonych na obczyźnie pieniędzy, a założonych w swoich spółkach. Łatwość kredytu, pewność i rzetelność ducha obywatelskiego, to plon bogaty, który zmarły patron widział dojrzewający na wszystkich polach swej zabiegliwej działalności.

To też z dumą Wielkopolanie powtórzyć mogą słowa prof. ks. Zimmermana, powołanego na katedrę jagiellońską, jednego z uczniów ks. Wawrzyniaka:

„Spółki i spółkowcy nasi, — i ci, co gmin tworzą członków, i ci, co znoszą do ulów i co nimi kierują, i ci, co na czele całości stoją, — to nasz dąb, co z ziemi naszej wziął swój początek i z niej bierze swe soki. sam rośnie bez cudzej pomocy i wśród mgieł, podmuchów wrogich i burz nad ziemią i jej mieszkańcami, opiekuńcze roztaczając konary, z dnia na dzień dąży ku słońcu"...

Na ziemi twardo stał i ziemi się trzymał zmarły Patron, ale oczy zwrócone miał ku przyszłości i pewny szedł i wiódł społeczeństwo swe ku jutrzence.

Na szczególną uwagę zasługuje głos ultra-hakatystycznego dziennika *Posener Tageblatt*, który ś. p. ks. Wawrzyniakowi poświęcił kilkołamowy artykuł:

„Polskość — pisze — nie miała nigdy lepszego organizatora na polu gospodarczem i lepszego wychowawcy. Prócz sfer, wnikających głębiej w stosunki kresów wschodnich, niemcy nie mieli właściwego wyobrażania o sile tego męża. Dowiedzieli się o niej dopiero od prof. Bernharda, który w swej książce „*Das polnische Gemeinwesen*", przedstawił znaczenie polskich spółek zarobkowych i znaczenie tego męża, który niemi rządził jak dyktator i władca.

„Ks. Wawrzyniak, jako patron polskich banków ludowych, był nietylko polskim ministrem finansów, ale pewnego rodzaju królem polskim, lub wyrażając się lepiej, prezydentem rzeczypospolitej, tylko, że w danych warunkach więcej miał władzy, niż inny prezydent, bo rządził rzeczywiście i to dość samowładnie.

„Nic ważniejszego stać się nie mogło bez ks. Wawrzyniaka w polskim obozie, nietylko dlatego, że należał do wszystkich ważniejszych organizacyi politycznych, gospodarczych i narodowych, lecz i dlatego, że miał potęgę finansową w rękach i stąd mógł ostatecznie rozstrzygać, co i jak stać się ma lub nie, jeżeli chodziło o projekty, do których przeprowadzenia potrzeba było kapitału. Ta siła finansowa i osobiste zalety dawały mu we wszelkich sprawach wpływ decydujący.

„Niemczyzna traci w prałacie Wawrzyniaku przeciwnika, którego fanatyzm narodowy (!) równie był wielki, jak jego talent dyplomatyczny. Jako fanatyk-nacjonalista, występował jednak najostrzej wtedy jedynie, gdy nie wchodziła w rachubę jego rola, jako patrona spółek. Gdy chodziło o interes tych spółek, unikał bardzo mądrze zwalczania niemczyzny wedle znanej narodowo-polskiej metody. I wobec rządu nie narażał się o ile możności, aby nie dać powodu do wystąpienia władzy przeciw spółkom polskim. Niemczyznę jednak oraz ideę państwową zwalczał czynami. Szkodził niemczyźnie i państwu więcej, niż którybądź inny polak, bo był organizatorem stanu średniego polaków. On wspierał ten dźwigający się stan, on wzmacniał go finansowo i dawał mu gospodarczą tężyznę, on w tej samej mierze, o ile mógł, szkodził niemieckiemu stanowi średniemu i położenie jego pogarszał. On też organizował opór przeciw komisji kolonizacyjnej, bo w polskich spółkach utworzył środki dla zaspokojenia polskiego „głodu ziemi" i umocnienia małej własności polaków. W taki to sposób usiłował podminować filary państwa na kresach wschodnich".

Znamienny zwłaszcza i jako bardzo trafna a treściwa charakterystyka ks. Wawrzyniaka, zasługujący na poznanie, jest głos urzędowego organu Związku Spółek niemieckich systemu Raifeisena, który między innemi pisze:

„Z jego śmiercią ubył społeczeństwu polskiemu mąż, którego nazwisko na zawsze będzie związane z historją odrodzenia polskiego narodu; duch jego nietylko w dziedzinie ruchu spółkowego pozostawił po sobie ślady niezatarte, lecz także w wszelkich organizacjach polskich. Należy się, abyśmy wielkość tego męża i wielkie jego dzieła uznali.

„Zakładając i kształcąc spółki, stał się równocześnie wychowawcą narodu. Organizacja spółkowa i punktualność w prowadzeniu przedsiębiorstwa oznaczały wyswobodzenie włościan z rąk lichwiarzy. Jeszcze przed niewielu dziesiątkami lat włościanin polski oddawał się pijaństwu i nied stępny był wszelkiemu postępowi, dziś jest on oszczędny i pilny i dzięki tym przymiotom podnosi się coraz wyżej. Z tego to włościaństwa wyrasta silne miejskie drobne mieszczaństwo.

„Gdzie mąż takiej miary nagle się usunie, tam powstaje wyłom. Atoli i tutaj umiał być ks. Wawrzyniak wielkim, nie przystosowując spółkowej organizacji do swojej indywidualności, lecz mając na uwadze jej trwałość, gdyż utworzył wokół siebie orszak mężów, którzy nauczyli się pod jego oczyma kierować wielką instytucją. Znaczyłoby nie doceniać jego dzieła, gdyby się sądziło, że instytucja ta pocznie upadać, lub też przestanie się rozwijać.

„Dla naszych spółek niemieckich — jest jego

dzieło wielkim wzorem, z którego możemy się uczyć. Uczucie wstydu musi nas ogarnąć, jeżeli rozważymy, jak bardzo nasza niemieckość oddalona od takiego poświęcenia się dla całości — mimo swych większych sił ekonomicznych i tak chętnie akcentowanej wyższości kulturalnej i jeżeli uprzytomnimy sobie, w jak smutnem pozostaje ona rozproszeniu".

Rozmawialiśmy w tych dniach z jednym z Poznańczyków o ś. p. ks. Wawrzyniaku.

— Najwięcej nas to zadziwia — mówiliśmy — że ks. Wawrzyniak był szanowany przez wszystkie stronnictwa, był powagą ogólno narodową U nas, niestety, takich powag niema — gdzie się znajduje wybitny i zasłużony człowiek, któregoby przeciwnicy polityczni nie obrzucili błotem?

— Bo widzi pan — odpowiedział zapytany — ks Wawrzyniak jako gorący, prawdziwy patryjota, nie służył żadnemu stronnictwu Nie chciał pracować dla „części", pracował dla całości. Przeciwników politycznych mieć zatem nie mógł...

Dziwna ta Wielkopolska. U nas takich ludzi nazywa się dzikimi i wszystkie stronnictwa odnoszą się do nich wrogo.

Związek Towarzystw narodowych we Lwowie.

Komunikat P. L. N.

Na zaproszenie Komitetu obywatelskiego, istniejącego we Lwowie od roku 1864-go zebrali się 15 b m. w sali rady miasta Lwowa delegaci Towarzystw narodowych, przyczem Liga Narodowa zastąpiona była przez prof Hauswalda, dra Korytkę i sekretarza Augustowskiego.

Delegaci zebrani powzięli następujące uchwały:

1) Towarzystwa o charakterze narodowym wysyłają stale do składu Komitetu obywatelskiego dla ogólnych spraw narodowych po dwu zastępców z głosem stanowczym.

2) Wszystkie powyższe Towarzystwa od tej chwili pracować będą wspólnie około wszelkich obchodów narodowych, wszczególności zaś rocznic powstania 1831 i 1863/4, Konstytucyi 3-go Maja, jakoteż zaduszek za bohaterów sprawy narodowej.

Następnie omawiano wniosek utworzenia Związku towarzystw narodowych w celu zbliżenia towarzystw polskich do siebie, zmniejszenia wydatków na oddzielne lokale, porozumiewania się w sprawach większej wagi i energicznego działania w kierunku podniesienia siły i znaczenia naszego narodu

Delegat Hauswald zwrócił uwagę na to, że od kilku już lat istnieją dwa towarzystwa ogólno-narodowe, mianowicie „Straż Polska" w Krakowie i „Liga Narodowa" we Lwowie, które działają zupełnie w duchu projektowanego Związku Polskiego.

Towarzystwa te mają obecnie bogaty zasób doświadczeń na ważnem, ale i niewdzięcznem polu pracy ogólno-narodowej. Mówca przypomniał obecnym, że w tej samej sali założono przed niespełna dwoma laty Ligę Narodową, która ma podobny ustrój i cel, jak Związek proponowany przez zebranych delegatów Jako członek Zarządu P. L. N. oświadczył prof. Hauswald, że uważa ponowne podniesienie myśli zjednoczenia towarzystw polskich za bardzo pożądane i nie wątpi, że ze strony Ligi Narodowej, dążenia obecne będą gorąco poparte.

W ożywionej dyskusyi oświadczyło się wielu delegatów za utworzeniem Związku, kilku zaś przeciw temu

Uchwalono wreszcie następujące wnioski:

1. Komitet obywatelski dla ogólnych spraw narodowych przyjdzie w przeciągu 14 dni z określonymi wnioskami, dotyczącymi założyć się mającego „Związku Towarzystw narodowych"

2 Delegaci poszczególnych Towarzystw przybędą na to posiedzenie z pełnomocnictwem swych Towarzystw w sprawie Związku.

Powyższy komunikat P. L. N. uzupełniamy ze swojej strony streszczeniem sprawozdania nadesłanego nam przez delegata „Straży Polskiej" p. Bogdana Krzysztofowicza.

Otrzymawszy zaproszenie na zgromadzenie delegatów towarzystw narodowych, delegat nasz brał udział w naradach nad trzema punktami porządku dziennego, któremi były:

1. Sprawa stałej delegacyi przez pokrewne Towarzystwa do składu Komitetu obywatelskiego do ogólnych spraw narodowych (po 2 zastępców) z głosem stanowczym;

2. Sprawa obchodzenia rocznic powstania r. 1831 i 1863/4, 3-go maja wspólnie z Towarzystwem Szkoły ludowej i Zaduszek.

3 Zainicyowanie złączenia pokrewnych Towarzystw w Związek, dla jednolitej pracy.

Pierwsze dwa punkty powyższego programu uchwalone zostały w brzmieniu podanem powyżej w komunikacie P L N.

Przy punkcie trzecim pierwszy zabrał głos delegat „Straży Polskiej" i zauważył, że myśl podjęta nie jest nową — owszem była zawsze w programie ludzi obywatelskim duchem przejętych, a skrystalizowała się już poniekąd w założeniu Towarzystwa „Straży Polskiej" i „Polskiej Ligi Narodowej", które powinny były stać się łącznikiem wszelkich Stowarzyszeń, mających na celu specyalne zadania narodowe. Była nadzieja, że Rada narodowa podejmie się tej misyi i wciągnie do swego grona przedstawicieli towarzystw narodowych. Gdy się to nie stało, należy stworzyć proponowany Związek, co jednak nie przeszkadza, aby Radzie Narodowej rzecz tą przedstawić.

Wywody swoje poparte przez rektora Thuliego p Aleksandrowiczównę i t. d. zakończył mówca następującemi rezolucyami:

1. Zgromadzeni delegaci Tow. nar. wyrażają przekonanie, że sprawa utworzenia Związku Tow. nar. dla spraw ogólno-narodowych jest niesłychanie doniosłą i polecają Komitetowi obywatelskiemu jako inicyatorowi tego projektu, by do dni 14-tu przyszedł przed ponowne zgromadzenie delegatów z odpowiednimi, konkretnymi wnioskami w tej sprawie.

2. Zgromadzeni delegaci wyrażają zapatrywanie, że Rada Narodowa, nie wkraczając w samodzielność poszczególnych organizacyi i związków narodowych powinna wejść w stałą styczność z niemi przez powołanie do swego grona delegatów tych Organizacyi i Związków dla kierownictwa pracą w sprawach ogólno-narodowego znaczenia — z wyłączeniem spraw wyborczych

W ten sposób zdąży społeczeństwo polskie stopniowo do wytworzenia najwyższej, stałej reprezentacyi i instancyi dla spraw ogólno-narodowych

3 Rezolucyę 2-gą poleca zgromadzenie prezydyum przedłożyć Radzie Narodowej do wiadomości

W rezultacie po obszernej dyskusyi polecono Komitetowi obywatelskiemu, by te rezolucye wziął pod rozwagę wraz z wielu innymi wnioskami, jakie się w czasie dyskusyi wyłoniły.

Przegląd literacki.

Józef Weyssenhoff Unia. Powieść litewska. Warszawa 1910 r. Geb. i Wolff.

Ostatnia powieść autora „Żywota i myśli Zygmunta Podfilipskiego" pod niektórymi względami sprawiła mi niespodziankę miłą i pożądaną.

Z tonu i treści pierwszego rozdziału „Unii"— przyjazd i pierwsze kroki p. Apolinarego Budzisza w Wilnie, można było mniemać, że będzie to nowe ogniwo „Dni politycznych", tych satyrycznych i nieco groteskowych szkiców, w których autor z właściwym sobie kostycyzmem kreślił sylwetki pewnej kategoryi naszych działaczy politycznych z lat ostatnich i niektóre objawy tej działalności zlekka wydrwiwał.

Ale zaledwie wyjechali główny bohater owych „Dni", zacny pan Apolinary i jego młody krewniak p. Kazimierz Rokszycki z zaułków wileńskich — na wieś, na te rozległe przestrzenie, co szeroko i obszernie we wszystkich kierunkach od Bałtyku do głębi błot poleskich rozciągają się w krąg dawnej stolicy Gedymina i Jagiełły—stało się, że nie tylko ci goście z Korony, ale i sam autor w dalszem tworzeniu swego dzieła uległ dziwnemu, nieprzepartemu niemal czarowi, który płynie z „tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych" i z „tych pól malowanych zbożem rozmaitem, pozłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem", że, obok ludzi z ich zabiegami, waśniami, kierunkami i t. p., postawił na równym planie w kompozycyi dzieła krajobraz litewski, ziemię i przyrodę, ten piękny, urokliwy kraj, co, jak wykrzykuje z zapałem młody Rokszycki, „kwitnie, gada, zaprasza, kocha .."

I tu właśnie, silniej może niż kiedykolwiek dotąd u Weyssenhoffa, przemówiło uczucie; w tych opisach przyrody litewskiej wylał się jego liryzm, bijący z najszlachetniejszego źródła miłości, miłości odwiecznej obu krajów, złączonych z sobą węzłem, jakby małżeńskim, uzupełniających się wzajem i chwilowo tylko pod nawałnicą wspólnych cierpień, w oparach ignoracyi lub fałszowanego przedstawiania dziejów — ulegających prądom goryczy i zniechęcenia ku sobie.

W opisach przyrody litewskiej potrafił autor przedstawić wiernie i pięknie jej właściwy koloryt, a zarazem uwydatnić jej specyficzny nastrój melancholijnej pogody i spokoju, który nie działa podniecająco, lecz pociągająco i kojąco, a niewątpliwie z biegiem czasu wpływa na zmiany temperamentu i usposobień w osiadających tam bratnich rodach lackich.

Przejdźmy do ludzi. Weyssenhoff przedstawia tylko sfery inteligentne obywatelstwa wiejskiego; ludu właściwego nie porusza, chyba kilka postaci, które skupiają się około dworu. Prym wśród nich trzyma Jurko Lejtan, stary leśnik, typowa postać, niestety już zanikająca, z lubością i maestryą skreślona przez autora. Takie pojmowanie polowania, jak je praktykuje Lejtan, tłumaczy i uzasadnia, że tylko w naszym języku prócz terminu: łowiec — istnieje jeszcze miano: myśliwego, któremu nietyle chodzi o łowy, o zdobycz, ile o wmyślenie się w naturę zwierza, w życie lasu, puszczy i całej przyrody. Stąd wyrobiła się u niego znajomość duszy i charakterów ludzkich i trafne, jak gdyby instynktowne ich przenikanie, z wiernem przywiązaniem do jednych, a słuszną niechęcią lub pogardą dla innych.

W dość licznej galeryi rozmaitych figur, wychodzących w „Unii", autor traktuje niektóre pod kątem widzenia „Dni politycznych", to jest nieco karykaturalnie, wyłącznie w stosunku do nagle ożywionego i rozróżniczkowanego ruchu politycznego i nacyonalistycznego, lecz kilka z nich przedstawia wszechstronniej i pełniej.

Zyskuje na tem przedewszystkiem sam p. Apolinary Budzisz; kontakt z krewnymi Budziszami, zdawna osiadłymi na Litwie, i z całym szeregiem rodaków o odmiennej i rozmaitej indywidualności, rozszerza jego dotychczasowy widnokrąg Staje się coraz bardziej personifikacyą tych pewnych cech ludzkich, które nazwałbym „Chanteclerowskiemi", gdyż przedstawiają analogie z głównym typem późniejszej chronologicznie sztuki Rostand'a. Sądzę nawet, że przezwisko „Chantecler" najwłaściwiej byłoby przetłomaczyć po polsku na Budzisza.

Jak ony, choć próżny kogut galski, ów typ Francuza, myśli, że budzi i sprowadza życiodajne słońce, tak onemu, prawemu, lecz również próżnemu Budziszowi wydaje się, że to on budzi i ożywia ducha narodowego w akcyi społecznej. A choć niebawem przekonywa się, że ten duch właściwie istnieje i bez jego gromkiej interwencyi, czyż źle czyni, że go wielbi, afirmuje, że porusza ospalszych i odrętwiałych w wygodnym kwietyzmie lub jałowem wahaniu się i ciągłej krytyce?

Ale obok tego, bądź co bądź sympatycznego frazesowicza, przyjeżdża z Korony na Litwę inny typ z młodszego pokolenia obywatelstwa ziemskiego, równie jak on, gorąco czujący, choć powściągliwszy w słowach Typ ten bardziej przypadający do charakteru i gustu Litwinów, dzielniej i sprawniej umie od nich pracować i opanowywać warunki życiowe w dążeniu do swoich celów ogólnych i osobistych, z zachowaniem w całości i czystości wszystkich ideałów.

On też w tej powieści wysuwa się na plan pierwszy, jako typ młodego ziemianina polskiego ostatniej doby, przedsiębiorczego, rozumnego i wytrwałego, na którego barkach w połowie, a — mojem zdaniem — w przeważnej mierze, spoczywa dziś dalsze dzieło prowadzenia wiekopomnej Unii Lubelskiej. Mówię tu o Kazimierzu Rokszyckim, którego autor przedstawił z widoczną lubością, bez żadnych ukłuć satyrycznej szpilki, a szczęśliwie uniknąwszy bladości i anemiczności, bardzo częstej u „zacnych" młodzieńców z powieści.

Wśród mieszkańców Litwy, których p. Apolinary Budzisz poznaje w Wilnie, potem w Wiszunach u swego krewnego, „litewskiego pana tego samego rodu", Hieronima Budzisza, i w pałacu Eustachego Chmary w Rarogach — są postacie ro-

zmaite, ze znajomością rzeczy i z werwą nakreślone. Nacyonalistów litewskich wprowadza autor tylko epizodycznie — gdyż mało ich jest wśród ziemiaństwa — archeologa Ciesierowicza i ludowca Miłakuisa, szczerych miłośników odrębności językowej litewskiej, lecz bez niechęci, a tembardziej nienawiści do polskości, tylko z uczuciem raczej parweniuszowskiej do niej nieufności. Raz jeden mimochodem i tylko zewnętrznie daje sylwetkę zaciekłego fanatyka, płonącego nienawiścią narodową.

Wśród Polaków z krwi litewskiej czy polskiej, białoruskiej czy niemieckiej nawet, a w istocie tak rasowo pomieszanej, że krwi tej dojść trudno i nie potrzeba zresztą, bo nie na niej przecie polega narodowość, wśród tych Polaków widzimy kilku takich, co jak „ptaszyska nocne“ u Rostand'a chciałyby zgnębić biednego Chanteclera-Budzisza, a zwłaszcza jego dzielnego towarzysza, lecz większość odczuwa równie szczerze i gorąco, jak oni, wspaniały „hymn nadziei do słońca“, choć go może na inny nieco i bardziej skombinowany ton, choć go ciszej i głębiej w duszy śpiewają. Oczywiście nie sposób ich tu w krótkim szkicu wyliczać, lecz każda z postaci posiada swoją cechę charakterystyczną, artystycznie, trafnie i żywo ujętą.

W szeregu „ptaków nocnych“ pierwsze miejsce zajmuje Eustachy Chmara, szlachcic bardzo bogaty i skoligacony, samolub bez skrupułów, z ambicyą wielką i wolą silną, a z duszą jeszcze polską, *mutatis mutandis* epigon targowicki. Obok niego występuje już zupełna kosmopolitka w duszy, zimna libertynka, piękna księżna Zasławska, wychowująca swych synów, w gruncie rzeczy niezłych chłopaków—na przyszłych filarów wszelkich międzynarodowych tinglów, bez żadnego poczucia przynależytości do jakiejkolwiek ojczyzny, do jakichkolwiek obowiązków społecznych.

Że pomiędzy tych dwojgiem uchowała się w czystości duszy i prawości narodowej młodziutka wdowa po bracie Chmary, śliczna Krystyna, dziedziczka zaszarganej przez opiekę Auszry, to już zasługa zacnego druha jej przedwcześnie zmarłych rodziców — księdza Antoniego Wyrwicza. Postać to kapłana-wychowawcy i myśliciela z ciepłem i artyzmem odtworzona.

Pani Krystyna broni się od wpływów najbliższego swego otoczenia pozornem dziwactwem i ekscentrycznością; jestto natura subtelna, wykwintna, bardzo kobieca, prawa i brzydząca się obłudą. Wychyla się z ram powieści, jako postać najjaśniejsza, najpieściwiej wycieniowana przez autora, niby kwiat niezmiernie swojski i wdzięczny, a wytworny i pełny zarazem istotnej dystynkcyi uczuć, myśli i manier.

Gorąca miłość do Rokszyckiego budzi jej energię, wskazuje źródło szczęścia osobistego i działalności społecznej podług tkwiących w jej duszy ideałów narodowych. Zrywa więc z Chmarą i Zasławską i pomimo ich intryg, bierze ślub z dzielnym koroniarzem w kaplicy św. Kazimierza w katedrze wileńskiej.

Podniosłym a wiekuiście wstrząsającym serca ustępem z testamentu Zygmunta-Augusta zakończył mowę ślubną ks. Wyrwicz, przemawiając od ołtarza, od trumny świętego Jagiellończyka. Scena związku tych dwóch młodych, rwących się w miłości do życia i pracy na ukochanej ziemi, błogosławionego w obliczu jednego z jej patronów, ta jakby symboliczna unia, jest rzadkim u chłodnego zwykle Weyssenhoffa fragmentem liryczno opisowym, w którym sentymentowi narodowemu nie ustępnie artyzm odtworzenia.

Młody koroniarz i młoda Litwinka zakładają nową rodzinę i budują dom w Auszrze. Tem się kończy „Unia“. Dziś, gdy większość autorów lubuje się w przedstawieniu rozkładu rodziny i w zaczerpniętej z rosyjskich mistrzów, negacyi i bezcelowości życia, zakończenie to trudno nazwać banalnem.

Na ogół powieść, pomimo niektórych scen nieco szarych i niezupełnie wolnych od publicystycznego zakroju „Dni politycznych“ — jest utworem artystycznym wysokiej miary, niezależnie od ideałów, na których się opiera i specyalnych uczuć, jakie w duszy polskiej budzi. *Ig. Baliński.*

Korespondencya „Straży Polskiej“.

Bruksela, 28 października.

W pawilonie niemieckim wszechświatowej wystawy w Brukseli wyjątkowe zainteresowanie i uznanie budzi dział szkolny. Hojnie pokazali tu siebie niemcy: dział książek szkolnych, biblioteka uniwersytecka, szkół niższych i średnich — leży do rozporządzenia gości; mnóstwo pomocy naukowych z działu przyrodniczego ilustruje *postęp* w nauczaniu; akwarya, wiwarya, modele woskowe, szkielety zwierząt, gniazda, przekroje anatomiczne, tablice, wzory, modele pomocnicze do matematyki i t. d. — jakże ciekawe i ważne dla pedagogów!

Lecz mało kto zatrzyma się dłużej w pokoiku, zarejestrowanym jako numer 14, a gdy się nawet zatrzymują w nim ludzie — niewielu pozna istotę jego, rzadki człowiek potrafi zobaczyć grozę życia, wyzierającego z kartek kajetów dziecięcych, z tablic statystycznych, z pokazów robót i z fotografii. Wszystko tu porządne, ponumerowane, jak i w innych, a specyalnie zaciekawiających na pierwszy rzut oka dla profana szczegółów tu niema. Dużo kajetów, fotografii, trochę modeli.

Na treść tego pokoju potrafi spojrzeć duszą całą Polak — i wkrótce pokoik ten stanie mu się punktem ogniskowym, z którego wystrzelą na ten pawilon państwa „bojaźni bożej“ promienie zrozumienia i poznania. Po godzinie samotnej i uważnej po tym pokoiku wędrówki wyjdzie z głębszem zrozumieniem całej niemieckiej „kulturalnej“ misyi i spojrzy nowem okiem na tę wystawę-symbol.

Pokoik numer 14 — to kwintesencja życia naszego w Poznańskiem — to szkoła ludowa z okręgu wrocławskiego, z Prus zachodnich: szkoła w Wągrowcu, Mokronosie, Kaliszowie, Pakoszu i t. d, w których polskie dzieci mowy swej potajemnie się uczą. Szkoła wzorowa, prowadzona według „najnowszych zasad pedagogiki“ i nam na pohybel, a niemcom na chwałę tu przedstawiona.

Trzeba spojrzeć na tablice statystyczne, wykazujące, ile na szkołę wydawano w 1861 r., a ile wydaje się dziś; na fotografie dawnych budynków szkolnych, niskich domków, otoczonych drzewami, i na porządne, o wysokich oknach, hygieniczne szkoły-koszary dzisiejsze, aby zrozumieć, że pokazują cudzoziemcowi niemcy, jaka była polska, a jaka jest obecnie niemiecka gospodarka. Leżą tam dzieła, opowiadające o ucisku niemców przez polaków, o przebiegu i zakończeniu tej 200 lat trwającej pomiędzy Polską a Prusami walce o granice *(„Preusen und Polen“, Verlauf und Ausgang eines 200 jähr. Völker Grenzstreites)*. Mówi się tam o Polsce, jako o kraju najezdniczym, który zresztą już niema. Polski bowiem, jako teraźniejszość, w tych książkach i kajetach nie istnieje. Istnieje *Deutsche Ostmark, Bezirk Bromberg, provinz Posen*, o dwujęzycznej ludności, istnieje *Wongrowitz, Kalischow, Gonsawa*, których dzieci w ćwiczeniach kaligraficznych piszą: *„Im Winter lebte kaiser Friedrich III. zu Potsdam“*.... na wiosnę gdzieindziej, w lecie jeszcze gdzieindziej, lub opisują portret rodziny królewskiej — a jeszcze dalej w wypracowaniach, mających za temat: „Co Fryderyk W. uczynił dla okręgu naszego?“ — opowiadają, jak kraj ten błotny, mokradłami i wodami pokryty, osuszył, skolonizował, tak, że teraz jest pięknym rolniczym krajem“ *(„Jetzt ist schones Ackerland“)*, lub jeszcze gdzieindziej pisze Marta Demska o tem, „jak Fr. W. troszczył się o Poznań i Prusy zachodnie“. „W 1772 roku — zaczyna — odbył się pierwszy rozbiór Polski. Fryderyk W. otrzymał Poznań i Prusy zachodnie, oraz miasta Gdańsk i Toruń. Kraj ten wyglądał bardzo smutno. Poczem następuje opis nędzy kraju: „mieszkańcy żywili się rybami i piwem, *gdyż chleba jeszcze nie znali (denn Brot konnten sie noch nicht“)*. Złu temu zaradził Fryderyk: dał Poznańskiemu urzędników najlepszych, 187 nauczycieli i policyę sanitarną“.

Brałam kajety przygodne, wierząc, że w ten sposób najlepiej poznam istotę nauczania polskich dzieci w niemieckiej szkole. Zupełnie więc przypadkowo takie wyłowiłam kwiaty. By polskie dziecko rosło na niemieckiego wiernego poddanego, musi ten niemiecki język wielkiego państwa znać; więc uczą je sposobem poglądowym, interesująco, ciekawie. Dzieci, pod kierunkiem nauczyciela, na małych zabawkach i modelach poznają pracę koło ziemi: oranie, siejbę, sadzenie roślin, zbieranie zboża — poznają różne rodzaje pracy — i przy tej sposobności zaznajamiają się z wyrazami, określającemi te czynności, gdyż mówi naczelna dewiza wągrowieckiej szkoły: *„Dajcie waszym dzieciom przedewszystkiem mowę, gdyż słowo budzi myśl“. („Gebt euern Kindern vor allen Dingen Sprache, denn das Wort weckt den Gedanken“)*. Tak, dajcie dzieciom z Wrześni, Gąsowa, Pakosza, i całej poznańskiej ziemi, *ich* mowę, gdyż słowo budzi myśl!

W kronikach szkół, w pismach tygodniowych dla dzieci, w ich kajetach — wszędzie — przemilcza się coś i niedomawia. Idealistycznie zabarwione wierszyki i powiastki opiewają piękno natury, miasta rodzinnego, wsi, okolic, lecz nigdzie niema słowa Polska — i lud ten cały pozbawiony jest tam miana narodu.

Roztoczył nad nim skrzydła pruski orzeł i wpił w niego szpony.

Lot wywiadowczy zatoczył i nad Belgią. Wizyta Wilhelma nosiła charakter przyjacielskich odwiedzin Alberta. Lecz Belgia nie zapomina, że niemcy zalewają jej przemysł, ze po biurach handlowych krążą dziesiątki wysłańców pruskich, że na granicy zbrojne miasta-fortece niemieckie czekają tylko hasła — więc pod pozorem honorów wojskowych pokazywał „kaizerowi“ swe pułki i drażnił go udałemi wzlotami nowego doskonałego balonu. *N. M.*

Z naszego przemysłu i bojkotu.

Przykład godny naśladowania.

W pewnej krakowskiej instytucyi finansowej przełożony wyraził życzenie, ażeby panowie urzędnicy wszelkie swoje zakupna czynili wyłącznie u firm krajowych, z uwzględnieniem w pierwszym rzędzie firm krakowskich; a dalej prosił ich, ażeby nie kupowali nic u pojawiających się u nich często obcych „reisenderów“ vulgo domokrążców, zwracając uwagę, że powinniśmy solidarnie dbać o to, ażeby pozostawał w kraju przynajmniej zarobek na obcym towarze jeśli już w braku własnego, musimy za takie towary płacić obcym fabrykantom ogromne sumy. Dorobek gospodarczy każdej jednostki — dodał pan przełożony — jest przecie równocześnie dorobkiem całego społeczeństwa.

Rozumne to i obywatelskie wystąpienie kierownika owej instytucyi finansowej zasługuje na ogólne a wielkie uznanie; w kołach kupieckich zaś wprost na podziękę już ze względu na to, że znaczna część naszego społeczeństwa do kupców polskich odnosi się wprost wrogo — a z ogromnem zaufaniem do wszelkiego rodzaju obcych spekulantów na naszą naiwność i naszą kieszeń.

Przypatrzmy się tylko baczniej i uważniej „pracy“ tych pozakrajowych „reisenderów“, którzy tak licznie zjeżdżają do naszego kraju, aby ludność tutejszą uszczęśliwić swojemi „skarbami“. Z czem to oni nie podróżują! Dywany, książki, wyroby złotnicze, bieliznę, ubrania męskie, rewolwery, maszynki do golenia — wszystko to u nich nabyć można i jeszcze dużo innych rzeczy, a wszystko rzekomo taniej, niż u krajowych kupców, a w dodatku jeszcze na spłatę ratami! Wymowa tych panów, a bardziej jeszcze ich cierpliwość jest tak nadzwyczajną, iż rzadko kto im się oprzeć zdoła i wskutek tego też łowią w swoje sieci setki i tysiące naszych aż nadto dobrodusznych współobywateli. Przecie to kupno tak dogodne — na raty miesięczne — jakże łatwo to zapłacić, nie czując wcale ciężaru wydatku.

W ten sposób rokrocznie miliony krwawo zarobionych pieniędzy polskich wywozi się „nach draussen“ z ogromną szkodą dla kraju, a nie mniej wielką właśnie dla tych jednostek, które pozwolą się osidlić tym obcym „reisenderom“.

Jest przecie prostą niemożliwością, iżby towary w ten sposób nabywane, mogły być tańsze od tych, które sprzedają nasi kupcy. Kto bowiem sprzedaje przez domokrążców i na raty, ponosi znaczne koszta takiego pośrednictwa, nadto doliczyć musi do towaru procenta zwłoki, koszta upomnień i zapewne nie mały procent na ewentualne straty. W rzeczywistości też tego rodzaju towary w stosunku do swej faktycznej wartości są niezmiernie drogie — a sprzedaż na raty równa się często już nie wyzyskowi, lecz prawdziwej lichwie. Wszakże rząd zmuszony był wydać nawet osobną ustawę, chroniącą ogół przed „dobrodziejstwami“ tego rodzaju handlu na raty. Zapewnić też możemy każdego, kto pragnie nabyć n. p. dywan perski, iż otrzyma go co najmniej 10 do 20 procent taniej w Krakowie, niż z rąk domokrążców. I bielizna najlepszych nawet jakości nie jest w sklepach krakowskich droższa, niż u tych „reisenderów“, którzy nadto mają czelność twierdzić, iż takiej bielizny, jaką oni ofiarują, u krakowskich kupców wogóle nabyć nie można. Jest to najzupełniejszą prawdą, lecz w przeciwnym sensie, bo kupcy krakow-

scy, jako odpowiedzialni przed miejscową publicznością, zapewne nie odważyliby się dostarczyć jej takiej lichoty, jak ta, którą ci obcy „wojażerowie" rozwożą. Do kupna u nich nie tyle też zachęca publiczność naszą dobroć ich towaru, ile owa rzekoma dogodność ratami.

A właśnie ta rzekoma dogodność jest złem, rujnującem gospodarstwo domowe.

Mąż, „zaszczycony" wizytą takiego pana, nabywa to i owo „na raty", co, jak mniema, przydać się może w domu, żona czyni to samo, nadto spłaca ratami swoją i dzieci garderobę; tak samo dług w sklepie towarów kolonialnych, wreszcie na raty tygodniowe nabywa się także maszynę do szycia i tak dalej bez końca. W ten sposób brnie się w długi na wszystkie strony; w domu przybywa wprawdzie przedmiotów, bez których bardzo dobrze obyć by się można, lecz raty trzeba płacić. Końce budżetu domowego już się nie schodzą i dla chwilowego znów ich połączenia trzeba zaciągnąć pożyczkę, którą znów spłaca się ratami. W ten sposób z roku na rok dług wzrasta, rodzina ubożeje, a bogaci się na jej krwawicy jedynie obcy fabrykant i obcy „reisender".

Osobom, które zobowiązania swoje chętnie i regularnie regulują, każda firma krajowa i miejscowa również udzieli kredytu, a bynajmniej nie w tak podstępny sposób i na tak lichwiarski procent. Natomiast żaden kupiec tutejszy nie będzie sprzedawał np. studentom brauningów na raty, ażeby później skarżyć ich o dalsze spłaty i sądownie zmuszać rodziców do pokrycia długu tych małoletnich. Jak straszny wprost wyzysk uprawia się także n. p. przy sprzedaży losów na raty, lub machin, rolniczych. Iluż to rolników straciło przez to całe swoje mienie!

Do prasy codziennej zwracamy się z prośbą, ażeby i ze swej strony przestrzegała lekkomyślnych i łatwowiernych przed tego rodzaju niebezpiecznemi i szkodliwemi interesami. Może w ten sposób jednak przecie powiedzie się uchronić ogół nasz przed tego rodzaju wyzyskiem i zatrzymać w kraju milionowe kwoty, któremi dziś tuczą się obcy, a głównie narodowi nasi wrogowie. *(Kupiec polski).*

Przypisek redakcyi. Chętnie podajemy przedruk powyższego artykułu z *Kupca polskiego* Uznajemy jego słuszność, pragniemy poprzeć słuszne żądania naszych kupców. Niechże jednak i oni stosują się do słusznych wymagań ogółu — niech sami nie popierają niemieckiej tandety, ze szkodą przemysłu własnego. A niestety niema dnia, aby nie dochodziły nas zażalenia na lekceważenie ze strony kupców wyrobów swojskich. Trzeba się o nie dopiero dopominać, a kto ich wyraźnie nie żąda, temu przeważna ilość kupców podsuwa wyłącznie towar obcy.

Kółka rolnicze i Suchard.

Redakcyi „Straży Polskiej" nadesłano następujący artykulik:

Hasła a rzeczywistość, czyli popieranie przemysłu krajowego w praktyce. — W num. 33, z 20 listopada *Przewodnika Kółek rolniczych* w dziale „Informacye handlowe", znajdujemy artykulik „Czekolada Sucharda", rzucający bardzo niekorzystne światło na działalność Towarzystwa Kółek rolniczych w kierunku uprzemysłowienia kraju. Wprost nie pojmujemy, jak może *Przewodnik,* będący organem Zarządu głównego, polecać Kółkom fabrykę Sucharda dziś, gdy w kraju naszym powstają fabryki, których właściciele, ożywieni chęcią wyparcia obcych wyrobów, dają wyrób nie droższy, a może nawet przewyższający je dobrocią. Rozczulającą jest otwartość *Przewodnika,* gdy pisze „zapotrzebowanie czekolady Sucharda jest dość znaczne po wszystkich sklepach Kółek rolniczych" i musi wywołać oburzenie w czytelniku, że instytucja funduszami krajowymi wspierana, nawołuje do zamawiania obcych wyrobów za znaczne sumy — jak sama przyznaje — i przyczynia się tem samem do zubożenia kraju, z którego czerpie soki, wysyłając dziesiątki tysięcy koron za granicę.

Zapewne autor artykułu nie zastanowił się, olśniony korzystną ofertą fabrykanta, przyznającą Towarzystwu wysoki rabat, jak jednym zamachem zachwiał zaufanie ogółu do Towarzystwa Kółek rolniczych i jaką krzywdę wyrządził krajowym fabrykom czekolady.

X. X.

W zakończeniu powyższego artykuliku jest wielka przesada. Kółka rolnicze są instytucją zbyt zasłużoną i zbyt pożyteczną, aby autor umieszczonego w ich *Przewodniku* ustępu o Suchardzie „jednym zamachem" zachwiał do nich zaufanie ogółu.

Ale poza tą przesadą p. X. X. ma zupełną słuszność.

Jestto bezwarunkowo wstydem dla Kółek rolniczych (mimo ich zasług i pożytku), że bez zastanowienia naśladują tych naszych kupców, (a niestety jest ich liczba olbrzymia), którzy powodowani interesem, a często jedynie wygodą, przyzwyczajeniem, lekceważą swe obowiązki obywatelskie, popierając przemysł obcy ze szkodą własnego.

Proszę wstąpić do byle którego, pierwszorzędnego lub drugorzędnego, handlu lub sklepu artykułów spożywczych i zażądać czekolady, a (twierdzimy to stanowczo) wszędzie podadzą wam wyrób obcy. W pierwszorzędnych handlach są nawet osobne szklane gabloty, wystawione w najcelniejszem miejscu, z rozmaitemi „Milkami", „Velmami" itp. Suchardami, z Gala-Peterami, Caillerami, Kohlerami, Jordan-Timaeusami itd. A w najmniejszych sklepikach znajdziecie tabliczki z podrzędnych fabryk Otto Rügera, Mannera, Lindta & Sprüngli itd. O krajowej czekoladzie zarówno do potentatów handlowych, jak i do sklepikarzy, słuch nawet nie doszedł.

A przecież wyrób czekolady to nie żadna filozofia, żadna tajemnica. Można zarówno dobrą wyrabiać w Paryżu jak w Kopenhadze, w Stanach Zjednoczonych jak na półwyspie Bałkańskim.

To też np. w Warszawie trudno znaleść tabliczkę obcej czekolady. Pomijając tamtejsze cukiernie, które mają własne wyroby, jest tam i kilka wielkich fabryk czekolady, z których każda nietylko umieszcza swe wyroby w setkach handlów, ale posiada jeszcze kilka własnych sklepów, nieraz z przepychem urządzonych. Taki Wedel np. posiada w Warszawie 6 filij, a sklep jego „czekoladowy" przy ulicy Szpitalnej jest tak obszerny, że podobnie wielkiego wogóle nie mamy w Krakowie. I Warszawianki, które jak wiadomo, mają gusta wybredne, chrupią miejscowe czekolady i czekoladki bez żadnej „obrazy" dla swych ząbków.

I u nas do tego chrupania panuje wielka ochota. Od małych berbeciów zacząwszy, wszystkie pensjonarki i gimnazistki, wszystkie panny na wydaniu, wszystkie mężatki, zarówno feministki i sufrażystki, jak i zwolenniczki „starych obyczajów", słodzą sobie jak mogą życie w różny sposób, a przedewszystkiem cukierkami i czekoladą. I panowie świata, a ich tyrani, nie są od tego, choć w mniejszych rozmiarach.

Ale nie zastanawiają się ani ci „tyrani", ani te „niewolnice" nad tem, że można i należy nabywać czekoladę wyrobu krajowego, że za obcy jej wyrób idą setki tysięcy za granicę. Ba! może miljony.

Nie będzie żadnej przesady w twierdzeniu, że w samym Krakowie paręset funtów czekolady i czekoladek ginie dziennie w ustach i usteczkach. A w Galicyi chyba parę tysięcy. To znaczy 5.000 koron dziennie, 150.000 koron miesięcznie, a koło 2 miljonów rocznie. A z tego trzy czwarte zabierają Suchardy, Jordan-Timaeusy, Otto Rügery...

Zastanówcie się więc łaskawe panie, zastanówcie się panowie kupcy, zastanów się Szan. Zarządzie Kółek rolniczych.

Posiadamy własne fabryki czekolady, do nich się więc udawajcie. Prawda, że wobec zabijającej konkurencji, trudno im się rozwinąć na większą skalę, ale i tu postęp możemy zaznaczyć. Oto świeżo, przed paru tygodniami odbyło się w Krakowie poświęcenie fabryki czekolady p. Piaseckiego. Z małej fabryczki przy cukierni, powstała fabryka sporych rozmiarów, umieszczona w osobnym budynku, zaopatrzona w najlepsze maszyny i piec, wystawiony przez wyspecjalizowaną w tym kierunku fabrykę Klaczkego w Warszawie.

Więc nie możesz Szan. Zarządzie Kółek twierdzić, że nie mamy własnej czekolady.

Popieranie swojego przemysłu.

Na posiedzeniu lwowskiej rady miejskiej r. m. Szafrański protestował przeciw popieraniu przez Bank przemysłowy i przez Wydział krajowy w okólnikach do gmin firmy elektrycznej „Sokolnicki i Wiśniewski", która jest tylko reprezentantką obcego szwajcarskiego przedsiębiorstwa.

Szczególnie wspomniany okólnik Wydziału krajowego jest niebywałą reklamą dla obcego przemysłu na szkodę 18 innych firm elektrycznych we Lwowie. Interpelant wyraził w końcu życzenie, ażeby gmina m. Lwowa nie poszła za głosem tego okólnika i nie pomijała innych firm naszych na szkodę tej protegowanej nielojalnie przez Bank przemysłowy i Wydział krajowy.

Rozmaitości.

Doskonałą odpowiedzią na niecne zarzuty Rosyan w sprawie t. zw. krzywd wyrządzanych Ukraińcom w Galicyi jest list otwarty *Dziennika petersburskiego* do hr. Bobrinskiego i Spółki:

„Jaśnie oświecony panie hrabio, szanowny panie profesorze i cała czcigodna kompanio z *Now. Wrem.* i *Świetu*!

W Galicyi mieszkają 3 miliony ukraińców. Posiadają oni przeszło dwa tysiące szkół ludowych z wykładowym językiem ukraińskim, 5 gimnazyów i 10 katedr uniwersyteckich. Rosya liczy 27 milionów ukraińców, to jest 9 razy więcej, niż Galicya. Jeżeli zatem chcecie bronić ukraińców, to przedewszystkiem: 1) wprowadźcie do 18.000 szkół ludowych na ukrainie język ukraiński; 2) załóżcie 45 gimnazyów ukraińskich; 3) na uniwersytecie kijowskim, w jekaterynosławskim instytucie górniczym, politechnice kijowskiej, charkowskiej, nowoczerkaskiej i w seminaryach duchownych utwórzcie po 10 katedr ukraińskich i 4) nie zamykajcie „Proświt" na Ukrainie. Niech choć jedna z nich założy — wzorem lwowskiej „Proświty"—2.286 czytelni o 89.950 członkach, 262 kółek dramatycznych, 254 chórów i 466 sklepów współdzielczych"!

Zabawna nieznajomość. Jedna z warszawskich gazet żydowskich donosi, że na Wiśle ukazał się nowy statek parowy, nazwany „imieniem słynnego poety polskiego". A tym poetą jest.... „Pan Tadeusz"!

Niemczenie nazw. Żydzi żargonowi oddawna, zamiast polskich nazw ulic w Warszawie, używają niemieckich.

A więc: Krakowskie-Przedmieście nazywają „Krakower-Forsztat", ul. Miodową „Met-gas", Długą „Lange", Stare Miasto „Alt-Sztat", Nowe Miasto „Neu-Stat" albo po hebrajsku „Mecken", Czarna (obecnie Sapieżyńska) „Szwarce", Leszno „Lesc", Żelazna „Eisen-gas", Zielna „Gryne" (widocznie Zielona) i t. d.

Co można mieć za koszt jednego pancernika, który kosztuje przeciętnie 2 miliony funtów szterlingów (50 mil. koron). Można za te pieniądze zbudować 10 zakładów naukowych dla 10 tysięcy uczniów, z bibliotekami, czytelniami, muzeami i t. p.; można stworzyć kolonię z 10 tysięcy wygodnych, czystych i hygienicznych domków, dla dwóch rodzin każdy, przyczem komorne nie przekraczałoby 10 funtów 200 K.; 158.846 starców otrzymałby mogło za wartość jednego pancernika, który tak łatwo pójść może na dno, bezpłatnie przez cały rok mieszkanie, pożywienie, odzież, pomoc lekarską i t. p. Możnaby dalej zbudować 130 domów dochodowych ze sklepami, składami i biurami: budowa domów takich pokryłaby się w ciągu 7 i pół lat. Wreszcie 176.000 bezdomnych dzieci otrzymałby mogło do dojścia do pełnoletności opiekę i wykształcenie zawodowe, któreby z nich zrobiło pożytecznych członków społeczeństwa.

P. L. N.

Wydział „Polskiej Ligi Narodowej" wybrał przewodniczącym p. Fr. Rawitę Gawrońskiego, zastępcami przewodniczącego p. Józefa Neumana i prof. L. Syroczyńskiego, sekretarzami panią Dekańską i pana radcę Wierzchowskiego. Członkowie Zarządu towarzystwa zdawali sprawę z rozwoju Ligi Narodowej w roku bieżącym, podnosząc, że działalność zarządu i koła lwowskiego w tym okresie znalazła powszechne uznanie. Komitety powołane przez Zarząd „P. L. N. pracowały z powodzeniem, a stan finansowy towarzystwa jest korzystny, dzięki bardzo oszczędnej gospodarce. Omawiając program prac na rok przyszły uchwalono na wniosek p. radcy Neumana i Dra Korytki zająć się energicznie zbieraniem w całym kraju funduszów na utrzymanie i budowę **burs dla polskiej młodzieży rękodzielniczej**, wychodząc z przekonania o ogromnem znaczeniu narodowem i ekonomicznem tej dotąd za mało cenionej grupy społecznej, z której wychodzą następnie polscy mieszczanie, rzemieślnicy i przedsiębiorcy.

Sprawa ta została nader gorąco przyjęta przez cały Wydział, którego członkowie złożyli na ten cel kwotę **110 koron**.

Zarząd P. L. N. powoła do wykonania tej uchwały osobny komitet towarzystwa pod przewodnictwem pana Neumanna.

Nowy Zarząd główny P. L. N. ma skład następujący: przewodn.: Edwin Hauswald, zast. przew.: Dr. Stan. Korytko, sekr.: J. Augustowski, zast. sekr.: H. Lindówna, skarbnik: Wł. Łasiński, zast. skarbnika: Kaz. Żardecki, członkowie Zarządu: K. Bartel, M. Dziędzielewicz, Wł. Fedorski, K. Kmicikiewiczowa, Marya Marossanyi, M. Neugebauer.

Kronika „Straży Polskiej“.

Po uzupełniających wyborach do Zarządu główn „Straży Polskiej“, dokonano z początkiem lipca wyborów do prezydjum. Wybrany jednogłośnie prezesem red. K. Bartoszewicz, nie przyjął tej godności z powodu niepomyślnego stanu zdrowia i braku czasu. Uproszony, zgodził się wreszcie pełnić obowiązki prezesa, lecz tylko do końca października. Następnie wybrano wiceprezesami r. m. Klaudjusza Dębickiego i dra Kazimierza Lubeckiego, sekretarzami p. Annę Balicką i p. Eugeniusza Kalinowskiego, skarbnikiem p. Kazimierza Krzyżanowskiego, zastępcą skarbnika inżyniera Władysława Magnuskiego.

Ponieważ prezes K. Bartoszewicz, stosownie do złożonego w lipcu oświadczenia, na zwołanem w pierwszych dniach listopada posiedzeniu złożył swe obowiązki i stanowczo odmówił pełnienia ich dalej, Zarząd główny po wyrażeniu mu podziękowania za trzyletnią blisko pracę dla dobra Stowarzyszenia, wybrał jednogłośnie prezesem dotychczasowego wiceprezesa r. m. Klaudjusza Dębickiego. Na opróżnione miejsce jednego z dwu wiceprezesów powołał Zarząd prof. dra Tadeusza Grabowskiego.

Na wiadomość o założeniu w Lublanie „Zwiazku miłośników narodu polskiego“, Zarząd główny 3 listopada jako w dniu pierwszego zebrania się Związku, wysłał następujący telegram:

„Założycielom Stowarzyszenia miłośników narodu polskiego przesyła „Straż Polska“ serdeczne życzenia, aby szlachetna ich praca ku zbliżeniu dwu narodów słowiańskich wydała najlepsze owoce“.

Akademickie Koło „Straży Polskiej“ zorganizowało w ubiegłym miesiącu szereg wycieczek, w celu zwiedzenia fabryk: tutek R. Herliczki, farb f. Górskiego i Sp., szczotek i pendzli inż. Drobniaka, wyrobów srebrnych i platerowanych M. Jarry, przerobu papieru inż. Procnera i Sp., wyrobów metalowych Sulikowskiego, oraz pralnię elektryczną „Lilia“.

Fabryka tutek R. Herliczki, zatrudniająca w osobnym budynku przeszło 200 dziewcząt, odznacza się przedewszystkiem wzorowym porządkiem i czystością. Ten dział poznano już w zeszłym roku przy zwiedzeniu fabryki tutek p. Paschalskiego. Nadzwyczaj zajmującem było zwiedzenie fabryki farb oraz fabryki szczotek i pendzli. W pierwszej wycieczka oprowadzana przez p. Kobylańskiego, miała sposobność poznać rozmiar produkcyi, oraz bardzo szeroką ekspedycyę w kraju, szczególniej zaś poza krajem do Wiednia, Bułgaryi, Włoch itd. Zbyt mało, jak na to zasługuje, popierana jest przez naszych kupców fabryka szczotek i pendzli p. Drobniaka, jedyna polska w Galicyi. Z działu wyrobów metalowych zwiedzono dwie bardzo poważne fabryki. Pierwsza z nich p. M. Jarry, wzorowo utrzymana zewnątrz i wewnątrz, druga p. Sulikowskiego, obie wyrobów srebrnych, platerowanych oraz metalowych. Nadzwyczaj ciekawy przebieg pracy nad każdą drobnostką, szczególniej pracy ręcznej, oraz bardzo skomplikowanej maszynowej, objaśniali uprzejmie właściciele. W fabryce przerobu papieru p. Procnera i Sp. zasługuje na uwagę maszyna do liniowania papieru. Zbyt szczupły jednak lokal nie może pomieścić nawału roboty, dlatego też zmianę lokalu, zamierzoną w najbliższym czasie, z którą zapewne połączone będzie pewne rozszerzenie fabryki, należy przyjąć z zadowoleniem. Wreszcie ostatnio zwiedzona pralnia elektryczna „Lilia“, bardzo efektownie, według najnowszych wymagań czysto urządzona, jest najpostępowszym zakładem tego rodzaju w Krakowie.

Planowane są dalsze wycieczki tak w obrębie samego Krakowa, jak i poza nim. Przypuszczamy, że te drugie wprawdzie nieco kosztowniejsze, równym będą się cieszyć udziałem publiczności, jak i wyżej wymienione.

Obszerniejsze sprawozdanie zamieścimy w następnym numerze.

Zarząd główny „Straży Polskiej“ uchwalił zwołać w połowie grudnia wiec, poświęcony sprawom Śląska austrjackiego.

Zawiązane w Chicago „Towarzystwo powieściopisarza Henryka Sienkiewicza“ nadesłało na nasze ręce dyplom honorowego członka dla autora „Trylogji“. Dyplom na pergaminie ozdobiony jest pięknie wykonanemi godłami narodowemi i herbami miast i ziem polskich.

Do dyplomu dołączona jest „Konstytucja Tow. patrjotycznego bratniej pomocy pod imieniem powieściopisarza Henryka Sienkiewicza, grupa 1160 Zw. Nar. Pol. w Ameryce założonego dnia 15 kwietnia 1909 r.“

Donieśliśmy w poprzednim numerze, iż wydawnictwo warszawskiego „Dnia“ skazano na 50 rubli kary za przedruk wyjątku z artykułu p. Maryi Czerszykówny „Co czynić dla Polski“, umieszczonego w numerze lipcowym „Straży Polskiej“. Świeżo za przedruk całego tego artykułu skazano redaktora „Gazety kieleckiej“ na 200 rs kary lub 2 mies. więzienia.

Nie spodziewała się zapewne autorka tego pięknego artykułu, że pracą swą przysporzy dochodów państwu rosyjskiemu.

Odezwy Ligi Narodowej.

P. L. N. jest **„Związkiem Polskim“**, niezawisłym od stronnictw politycznych, stanowych lub wyznaniowych, dążącym do budzenia i utrzymywania świadomości narodowej, poczucia łączności i wspólności interesów wszystkich rodaków, Towarzystw i organizacyi polskich, do wszechstronnego podniesienia dzielności, dobrobytu i prawdziwej kultury Narodu, zbierającym środki pieniężne na cele ogólno narodowe i spełniającym odpowiednio do sił i poparcia najważniejsze zadania programem swym określone.

Towarzystwo to działa w porozumieniu ze „Strażą Polską“ w Krakowie i dlatego ogranicza swe działanie do Lwowa Okręgu i wschodniego naszego kraju.

Rodacy, nie zapominajcie o tem, że w narodzie tak zagrożonym jak nasz, każda jednostka chętna do działania, każdy grosz na cele obrony naszego bytu poświęcony, ma swe znaczenie dla dobra ogółu, pamiętajcie, że obojętność i ociąganie się szkodzi sprawie narodowej i zniechęca inne jednostki, chętne i zdatne do pracy — więc, nie czekając na wielkie, porywające czyny, wstępujcie wszyscy w nasze szeregi jako członkowie czynni, spełniając jako pierwszy swój obowiązek złożenie podatku narodowego na rzecz P. L. N., który dobrowolnie, odpowiednio do swego dochodu rocznego ustanowicie.

Roczny podatek narodowy na rzecz P. L. N. wynosić powinien około $^1/_{500}$ części dochodu, czyli 2 kor. od 1000 kor. Najniższa wkładka roczna 2 korony. Członkowie płacący 6 lub więcej koron otrzymają organ Towarzystwa *Straż Polską* bezpłatnie. — Pocztowy rach. czekowy l. 114.853.

Do Członków Ligi!

Każdy członek Ligi powinien pozyskać dla naszego Towarzystwa jednego lub więcej nowych członków — wtedy szeregi nasze wzmogą się o tysiące świeżych zwolenników i staną się najcenniejszym, bo żywym i twórczym pomnikiem grunwaldzkim!

Do Komitetów i Delegatów Ligi!

Prosimy o samodzielne szerzenie idei przewodnich P. L. N. w swych okręgach i o nadsyłanie sprawozdań, wkładek zebranych i wniosków swoich wprost do Biura skarbnika Ligi, (Lwów, Czarnieckiego 3).

Tamże są do nabycia pocztówki P. L. N. z „wezwaniami narodowemi“. 30 kart za 1 kor.

Datki na fundusz budowy domu P. L. N. prosimy nadsyłać wprost do biura skarbnika we Lwowie. Na zawiązek tego funduszu przeznaczył Wydział Tow. kwotę **1000** koron.

Odniemczenie Galicyi.

Szanownych delegatów Ligi Narodowej prosimy o uważne przeczytanie sprawozdania z Wiecu, dotyczącego odniemczenia naszego kraju i o **postawienie odnośnych wniosków** na Wiecach lub obchodach polskich, jakie się w danym okręgu w najbliższym czasie odbędą.

Treść Nr. 31: Tragiczne losy. — Nasza znajomość geografji ojczystej, przez Wacława Nakęskiego. — Cudze chwalicie (sprawozdanie z wycieczki „Straży Polskiej“ do Królestwa i na Litwę), przez K. Bartoszewicza (fejleton). — Kultura fałszu. — Pamiętniki z r. 1863 Kazimierza Sokalskiego, żuawa z pod komendy Rochebruna (ciąg dalszy). — Ks. Piotr Wawrzyniak i spółki poznańskie. — Związek Towarzystw narodowych we Lwowie (komunikat P. L. N.). — Przegląd literacki: Unja Weyssenhoffa, przezlg. Balińskiego. — Korespondencya „Straży Polskiej“, przez N. M. — Z naszego przemysłu i bojkotu: Przykład godny naśladowania; Kółka rolnicze i Suchard — Rozmaitości. — Kronika „Straży Polskiej“. — Odezwy Ligi Narodowej. — Ogłoszenia.

Rok założenia 1900. Medale, dyplomy i listy uznania.

INŻYNIEROWIE-ARCHITEKCI

J. SOSNOWSKI i A. ZACHARIEWICZ

PIERWSZE KRAJOWE

Przedsiębiorstwo robót żelazno-betonowych

WE LWOWIE, ul. Na Błonie L. 3 (dom własny).

Telefon Nr. 470.

W KRAKOWIE, ulica Swoboda L. 2.

Telefon Nr. 137 b.

Kierownik Filii na Zachodnią Galicyę Inż. S. G. ŻELEŃSKI.

Adres telegraficzny: **Hennebique** Lwów i Kraków.

Oddział betonowo-żelazny systemów Hennebique i Wayssa:
Mosty, szluzy, stropy, kopuły, piloty, akwadukty, tunele, zbiorniki, schody, syfony, wieże wodne i t. d. 275 wykonanych budowli, 167 wykonanych mostów, 6 zbiorników na ropę i t. d.

Oddział fabryczny:
Wyroby betonowo-żelazne, płyty stropowe, płyty do ścian, płyty trotuarowe i krawężniki, płytki posadzkowe, rury kanalowe, przepusty, żłoby cementowe automatyczne, podciągi betonowe nad drzwi i okna, cegły lekkie dla ścian działowych, cegły cementowe itd.

Cena 5 koron **z przes. 5·50**

HOŁD GRUNWALDOWI

wspaniałe album literacko-artystyczne

w ozdobnej stylowej oprawie

Dla Członków „Straży Polskiej“ cena zniżona za egzemplarz 4 kor. z przesyłką 4·50 „

JEST DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH, u wydawcy (FR. TERAKOWSKI, Mikołajska 13, Kraków) i w biurze „STRAŻY POLSKIEJ“ (Kraków, Floryańska 1).

1774 **Blizko 1½ wieku istnienia** **1910**

Najstarszy dziennik polski

Gazeta Warszawska

założona w roku 1774

Gazeta Warszawska jest wielkim organem codziennym, organem obrony interesów polskich i pracy polskiej na wszystkich polach, który notuje i oświetla wszelkie ważniejsze objawy życia polskiego, w kraju i w pozostałych dzielnicach, a także informuje o doniośląjszych zdarzeniach życia zagranicznego, dając ciągły obraz rozwoju polityki międzynarodowej.

Gazeta Warszawska utrzymuje blizki kontakt z Kołem Polskiem w Petersburgu, bacznie śledzi wszelkie zmiany położenia naszego w Państwie, rozwój ustawodawstwa państwowego, oraz położenie stosunków rosyjskich, od których [illegible]

Gazeta Warszawska podkreśla wszelkie zdrowe objawy naszego życia wewnętrznego, wszelką pracę dodatnią, wszelkie poczynania obywatelskie, a jednocześnie wykazuje i oświetla z narodowego stanowiska objawy ujemne, czynniki rozkładu, które naród pragnący żyć i dbały o swą przyszłość ze swego łona usuwać musi.

„PRZED STU LATY“.

„Gazeta warszawska“ zaprowadziła dział wspomnień z przed stulecia, istniejący w niektórych dziennikach zachodnio-europejskich. W tym dziale dwa raz na tydzień podawane są wyjątki z numeru „Gazety warszawskiej“, który się ukazał sto lat temu („Gazeta warszawska“ w owych latach ukazywała się dwa razy na tydzień). Wspomnienia te dotyczą obecnie bardzo doniosłego w dziejach Europy okresu napoleońskiego, u nas zaś są wspomnieniami czasów Księstwa Warszawskiego.

Badanie rozwoju pracy w całym kraju, **zespolenie polskiej Warszawy z prowincyą**, stawia sobie „Gazeta Warszawska“ jako jedno z najpierwszych swoich zadań, uważając je za główny warunek zdrowego rozwoju naszego życia i myśli narodowej naszej wewnętrznej spójności i mocy.

Stałymi członkami redakcyi lub współpracownikami „Gazety warszawskiej“ są pp.:

Zygmunt Balicki, Kazimierz Bartoszewicz, Stanisław Bukowiecki, prof. Ignacy Chrzanowski, Zdzisław Dębicki, Roman Dmowski, Stefan Dziewulski, Jerzy Gościcki, poseł Władysław Grabski, prof. Stanisław Grabski, poseł Władysław Jabłonowski, Tadeusz Jaroszyński, Maryan Kiniorski, Ludomir Komierowski, Tadeusz Konczyński, Stanisław Kozicki, Maryan Krzesimowski, Maryan Lutosławski, prof. Wincenty Lutosławski, Antoni Marylski Łuszczewski, Jadwiga Marcinowska, Zygmunt Morzkowski, Mieczysław Niklewicz, Adam Nowicki, Franciszek Nowodworski, Edward Paszkowski, Henryk Piątkowski, Stanisław Pieńkowski, Janina Popławska, ks. Seweryn Popławski, Władysław Prokesch, Henryk Radziszewski, Władysław St. Reymont, dr. Leon Rutkowski, Antoni Sadzewicz, Gustaw Simon, Czesław Sobolewski, Jan Stecki, poseł Józef Świerzyński, prof. Adam Szelągowski, Felicyan Szopski, Kazimierz Tetmajer, Zygmunt Wasilewski, Bohdan Wasiutyński, Henryk Wiercieński, Ludwik Włodek, Jan Załuska, Wincenty Zwoliński i inni.

Telefony: Redakcyi 88, Administracyi 25-51, Drukarni 172-28.
Redakcya i Administracya: ulica Szpitalna L. 14, w Warszawie.

Adres dla listów: „Gazeta Warszawska“, skrzynka poczt. L. 257 w Warszawie.

Cena „Gazety Warszawskiej“: w Warszawie: rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4 kop. 50, kwartalnie rb. 2 kop. 25, miesięcznie kop. 75; **z przesyłką pocztową:** rocznie rb. 12, półrocznie rb. 6, kwartalnie rb. 3; **za granicą:** rocznie rb. 18, półrocznie rb. 9, kwartalnie rb. 4 kop. 50. Zmiana adresu 20 kop. — Za odnoszenie do domu 10 kop. miesięcznie. — **Cena numeru pojedynczego 3 kop.**

Numery pojed. sprzedawane są we wszystkich agencyach, kantorach pism, kioskach i na kolejach.

ZMIANA LOKALU.

Pracownia krawiecka JÓZEFA SKWARCZYŃSKIEGO

przy ulicy Szpitalnej — **została przeniesioną**

na ulicę Mikołajską L. 11.

Poleca się łaskawym względom Szan. P. T. Publiczności.

PIERWSZA GALICYJSKA

PAROWA FABRYKA

Papy dachowej i Płyt izolacyjnych

w Podgórzu na Zabłociu.

Dostarcza towaru pierwszorzędnej jakości tak całymi wagonami jak i częściowo wprost Odbiorcom po cenach ściśle fabrycznych.

Oferty, próbki przesyła się na żądanie odwrotną pocztą.

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie (ul. Mikołajska L. 13) pod zarządem A. Szyjewskiego.